

MIECZ JAHWE

T O M 0

Córka Pustyni



Marek Migała

Biblijna fantastyka heroiczna

PRAWA AUTORSKIE © Marek Migąła, 2026

PIERWSZE WYDANIE POLSKIE

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być powielana ani przekazywana bez uprzedniej pisemnej zgody wydawcy.

Oryginalny tytuł: Miecz Jahwe Tom 0: Córka pustyni

Projekt okładki: autor

Ilustracje: autor

Redakcja: autor

ISBN 9788398152013

*Dla wszystkich, którzy zadają trudne pytania dotyczące starożytnych tekstów –
i nie odwracają wzroku od odpowiedzi.*

SERIA MIECZ JAHWE

TOM 0 **Córka Pustyni**

◆ w twoich rękach ◆

TOM I Pierwsza krew na pustyni

już wydany

TOM II Trąby Jerycha

w przygotowaniu

TOM III Fundamenty Szilo

w przygotowaniu

TOM IV Kły i Łuk

w przygotowaniu

S P I S T R E Ś C I

<i>Dramatis Personae</i>	6
<i>Prolog — Morze Czerwone</i>	10
Dzieci pustyni.....	19
<i>Retrospekcja I · Abiram: Dziecko kanałów</i>	38
Ostrzeżenie	52
<i>Retrospekcja II · Abiram: Droga w pustynię</i>	63
Dzieci i kapłani	74
Wilcy pustyni	85
Noc wilków	99
Pościg bez twarzy.....	111
Pierwsze polowanie.....	122
Szkoła Abirama	134
Pierwsza krew	145
Miecz Jahwe	155
Człowiek od garnków	168
<i>Retrospekcja III · Mojżesz: Wody Meriba</i>	183
Dom kupca	191
Świątynia Baala.....	201
Purpurowy namiot.....	209
Brat z kuźni	218
Nóż w ciemności	229
Człowiek pustyni.....	239
Dwie siostry, jedna noc	249
Rydwany Hebronu.....	259
Syn domu	272
Trzy nici	286
Próba	295
Zwiad.....	305
Złoto Jerycha	315

Pakt z ciemnością.....	326
Posłaniec Jozuego	335
Wujek Boaz	345
Pierścień Magona	354
Dwa głosy.....	363
Cena wisiorka.....	372
Obóz Izraela	382
<i>Epilog — Światło w ciemności.....</i>	<i>396</i>

Dramatis Personae

Osoby i miejsca w opowieści

CÓRKA PUSTYNI

Sira, córka Hebera i Aszery — dziewczynka porwana przez bandytów w szóstym roku życia, wychowana przez Abirama na wojowniczkę. Przez trzynaście lat żyje w bandzie, walczy i uczy się, szukając granicy, której nie zdoła przekroczyć.

Dalia, siostra Siry — młodsza o rok, obdarzona zdolnością widzenia przyszłości w urywkach i obrazach. Sprzedana do Jerycha, trafia pod opiekę Rachaby. Nigdy nie widzi własnego losu.

Heber, syn Nachona — ojciec Siry i Dalii, kupiec i były strażnik karawan. Człowiek spokojny i pewny siebie, który rozumiał, że wolność ma swoją cenę, i był gotów ją zapłacić.

Aszera, córka Lewiego — matka Siry i Dalii. Znała właściwy moment na wszystko — kiedy zbierać talerze, kiedy milczeć, kiedy mówić.

Boaz, brat Aszery — wujek dziewczynek, dawniej strażnik karawan u boku Hebera. Gruby, wesoły, mądrzejszy, niż wygląda. Jego humor jest tarczą; bez śmiechu jest groźniejszy.

Mirta, żona Boaza — spokojna, drobna, z cierpliwością kogoś, kto przez lata uczył się okiełznywać to, co nieukojne. Ripostuje krócej i celniej niż mąż.

Efron i Elan — synowie Boaza i Mirty, bliźniacy nie do odróżnienia i wieczni kłótnicy. Z własnego podobieństwa robią sobie żarty.

BANDA ABIRAMA

Abiram — herszt pustynnej bandy. Były Medżaj, uczeń kapitana Menkary, zabójca i strateg. Wziął Sirę jako dziecko, bo zobaczył w niej to samo, co w sobie. Czeka na Kanaan po drugiej stronie muru.

Menkara — kapitan Medżajów, pierwszy mistrz Abirama. Nauczył go wszystkiego, czego ten potrzebował — i od pewnego dnia wiedział, że szkoli własnego zabójcę.

Elisur — doradca przy radzie kapłańskiej Baala, człowiek z Jerycha i Hebronu. Planuje dalej niż wyciągnięte ramię. Przyszedł do Abirama z propozycją, której ten nie odrzucił.

DOM RACHABY

Rachaba — zamożna i wpływowa kobieta Jerycha. Kupiła Dalię na targu z przyczyn, których sama do końca nie rozumie. Strzegła jej lojalnie.

Szner — syn Rachaby. Pewny siebie wojownik, zbyt pewny jak na swój wiek. Zmienia się powoli pod wpływem Dalii — w kierunku, którego nie planował.

Horam — kupiec przy domu Rachaby. Miał córkę, która zmarła na gorączkę. Kiedy Dalia uzdrowiła jego syna, długo milczał i zastanawiał się, co począć z takim długiem.

Elam, syn Horama — uzdrowiony przez Dalię z gorączki. Przynosi jej kamienie z wyschłych rzek i zadaje pytania o Boga.

OBÓZ IZRAELA

Kaleb — stary weteran, jeden z dwunastu zwiadowców wysłanych przez Mojżesza do Kanaanu i jeden z dwóch, którzy wrócili z wiarą. Przyjął Sirę do obozu. Znał jej ojca z czasów karawan i długo o tym milczał.

Mojżesz — prorok i przywódca Izraela. Niesie ciężar, którego nie wolno mu odłożyć. Doprowadzenie ludu do Kanaanu to jedyna misja, której nie może porzucić.

Aaron — brat Mojżesza, kapłan, jego głos, gdy Mojżesz nie może mówić. Pamięta brata sprzed Horebu i wie, że tamten człowiek już nie wróci.

Pinchas, wnuk Aarona — kapłan przy Przybytku, strażnik świętości Namiotu Spotkania. Twarz ostra jak nóż ofiarny.

PRZYSZŁOŚĆ — MIECZ JAHWE

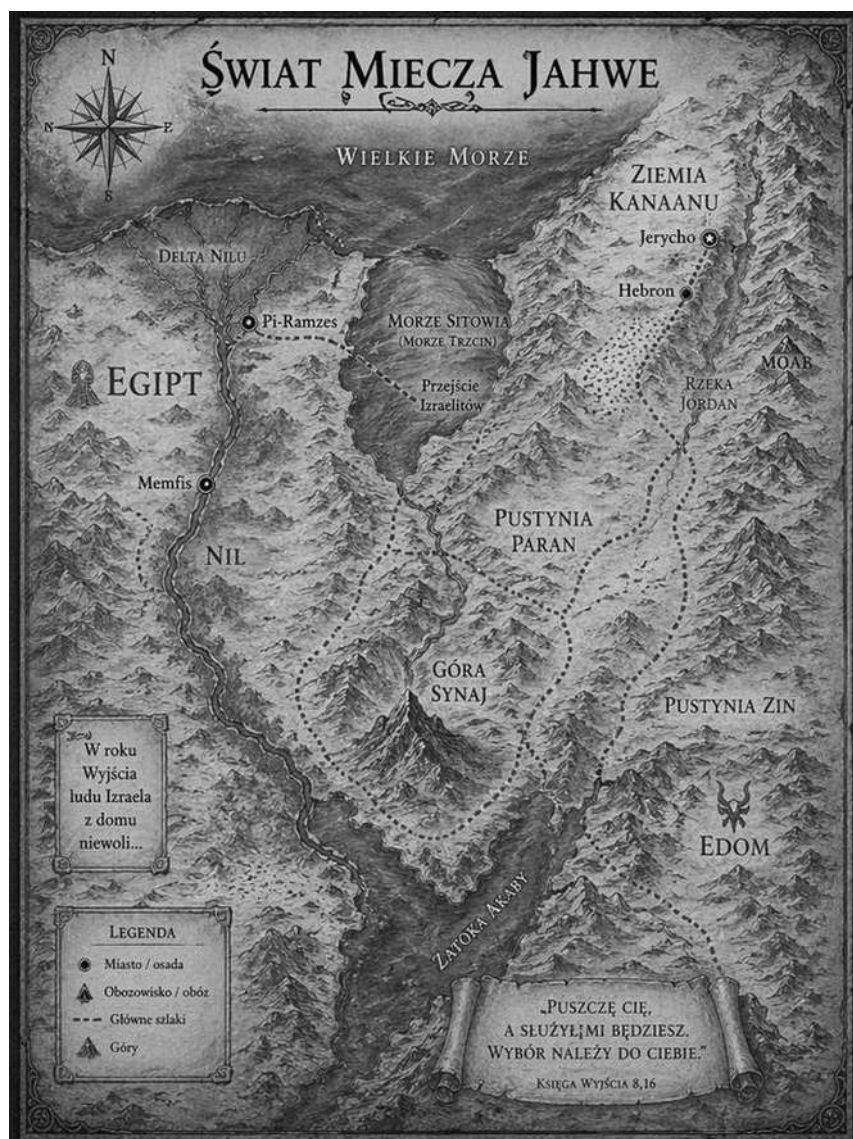
Barak — piętnaście lat, syn Mojżesza i kobiety, której imienia nikt przy nim nie wymawiał. Wychowany przez sześciu mistrzów. Jeszcze nie wie, kim jest. Widzi, co robi Bóg — i na razie to wystarczy.

Kena — stara kobieta bez pokolenia i bez innego imienia. Nie należy do sześciu mistrzów Baraka, ale żaden z nich nie podejmuje ważnej decyzji bez jej zdania. Pochwały rozdaje rzadko, jak rzadki jest deszcz na pustyni.

Goliat, syn Hirama kowala — szesnaście lat, wyższy od Anakitów, spokojniejszy od wszystkich. Słucha metalu. Metal mówi mu, czego chce. Siostra: **Miriam**, siedem lat, z tym samym uważnym spojrzeniem obserwatora.

Hiram, ojciec Goliata — kowal z Debiru, prawie tak wysoki jak syn. Warsztat i renoma — i czynsz, który wciąż rósł. Barak dał mu wyjście.

ŚWIAT MIECZA JAHWE



PROLOG

Morze Czerwone



Sześćset tysięcy mężczyzn zdolnych do noszenia broni. Tyle ich było, nie licząc kobiet, dzieci, starców i obcych, którzy przyłączyli się do Izraela w noc Exodusu. Razem może dwa miliony ludzi — lub więcej — ciągnących przez pustynię Szur jak rzeka, która jeszcze nie wie, że płynie ku morzu. Za nimi trzody kóz i owiec, osły objuczone dobytkiem, wozy skrzypiące pod ciężarem tego, co naród zdążył wyrwać z Egiptu w jedną noc. Złoto. Srebro. Tkaniny. Rzeczy pożyczone od sąsiadów, których nikt już nie zamierzał oddawać.

Na przedzie szedł słup ognia.

W nocy — kolumna płomienia, widoczna z każdego miejsca w obozie, której nie gasił ani wiatr, ani piasek. W dzień — słup obłoku, który dawał cień tak gęsty, że pod nim można było zapomnieć o słońcu. Jahwe prowadził swój naród osobiście, a jeśli ktoś miał co do tego wątpliwości, wystarczyło spojrzeć w niebo.

Ale to było trzy dni temu.

Teraz przed nimi było morze.



Morze Sitowia — Jam Suf — rozciągało się jak koniec świata. Woda była ciemnozielona, prawie czarna w świetle wieczoru, i choć nad brzegiem panował spokój, każdy mógł poczuć, jak fale pracują głębiej, ciężko i niespiesznie, jak oddech czegoś ogromnego.

Izrael zatrzymał się.

I wtedy ktoś krzyknął z tyłu.

Najpierw jeden krzyk. Potem drugi. Potem tysiące — fala paniki przeszła przez obóz jak wiatr przez pole pszenicy, przechylając wszystko w tym samym kierunku.

Egipt szedł za nimi.



Faraon Ramzes przysłał sześćset rydwanów bojowych — elitę, serce armii egipskiej. Każdy rydwan pociągały dwa konie rasy libijskiej, szkolenie od źrebięctwa do biegu po piaszczystym terenie. Na każdym stało trzech ludzi: woźnica w skórzanym pancerzu, łucznik z łukiem refleksyjnym, napinanym siłą obu ramion, i tarczownik z brązową tarczą oraz włócznią o grocie z brązu twardszego niż wszystko, co miał Izrael.

Za rydwanami szła piechota.

Sześć tysięcy żołnierzy w sformowanych oddziałach — Medżajowie, Szardanowie, najemnicy znad Wielkiego Morza, oraz nubijscy wojownicy z łukami z czarnego drewna. Szli w kolumnach po czterech, z tarczami na plecach i mieczami przy pasach. Nie spieszyli się. Dwa miliony ludzi nie uciekną daleko — zwłaszcza gdy przed nimi stoi morze.

Na czele jechał generał Horemheb na karym koniu — wysoki, z twarzą wyrzeźbioną jak maska pogrzebowa i oczami, które od trzydziestu lat widziały wyłącznie zwycięstwa. Miał na sobie zbroję z brązowych łusek na skórzanym podkładzie, na głowie hełm z piórami strusia, a na przedramieniu bliznę po strzale Nubijczyka, z którym jeszcze tego samego dnia wygrał zakład o to, że broń wroga nie powstrzyma Egiptu.

Horemheb patrzył na ciemną masę Izraelitów przy brzegu i uśmiechał się.

Mieli ich.



W tłumie Izraelitów panika miała własny głos.

— Czy nie było grobów w Egipcie, że wyprowadziłeś nas tu umierać?!

— Lepiej służyć Egipcjanom niż zginąć na pustyni!

— Mówiłem! Mówiłem od początku!

Głosy nakładały się na siebie jak fale. Kobiety ścisnęły dzieci. Mężczyźni patrzyli na morze, potem na tuman kurzu wznoszący się za horyzontem od strony Egiptu, i żaden z tych widoków nie był dobry.

Mojżesz stał na brzegu plecami do morza.

Twarcz miał spokojną. Nie dlatego, że nie czuł strachu — czuł go jak każdy. Przez osiemdziesiąt lat życia nauczył się jednak, że strach mówi prawdę tylko o tym, co jest teraz, a nie o tym, co będzie za chwilę. Trzymał laskę oburącz. Drewno było stare, wygładzone latami dotyku, i miało w sobie to, co mają rzeczy długo używane do jednego celu — pewność.

Aaron stanął obok niego.

— Nie zatrzymamy ich — powiedział cicho.

— Wiem.

— Co więc zrobimy?

Mojżesz nie odpowiedział od razu. Patrzył na tłum. Na twarze. Na dzieci na ramionach ojców. Na starców, którzy siedzieli na tobołkach, bo nogi już ich nie niosły, a mimo to wstali, gdy kazano, i szli, bo tyle lat czekali, żeby wstać i iść.

Poczuł coś, co czuł rzadko — nie głos, nie słowo, nie wizję. Tylko ciężar niewidzialnej dłoni na ramieniu.

Odwrócił się do ludu.

— Nie bójcie się! — Jego głos niósł się nad tłumem bez wysiłku, tak jak niesie się głos człowieka, który przez całe życie mówił pod wiatr i nauczył się nim władać. — Stójcie i patrzcie na wybawienie Jahwe, które wam dziś zgotuje! Egipcjan, których dziś widzicie, już nigdy więcej nie zobaczycie! Jahwe będzie walczył za was, a wy milczcie!

Tłum ucichł.

Nie dlatego, że uwierzył. Dlatego, że ta cisza była jedyną odpowiedzią, którą potrafił dać.



Słup obłoku, który przez trzy dni siedł przed Izraelem, zatrzymał się.

Powoli, bez hałasu, bez znaku — przesunął się z czoła pochodu na jego tyły. Stał między obozem Izraela a armią egipską jak mur. Od strony Egiptu był czarny jak najgęstsza noc. Od strony Izraela — jaśniał.

Horemheb wstrzymał kolumny.

Jego dowódcy podjechali bliżej.

— Co to? — zapytał jeden z nich — dowódca rydwanów, weteran od dwudziestu lat w siodle wozu bojowego, o twardej twarzy kogoś, kto widział już wszystko.

— Nie wiem — powiedział Horemheb.

To były dwa słowa, których przez trzydzieści lat służby nie wypowiedział ani razu.

Rydwany stanęły. Konie parskwały niespokojnie. Żołnierze patrzyli na ciemną ścianę obłoku i żaden się nie odzywał, bo nie było nic do powiedzenia.

Noc zapadła szybko, jak zawsze po pustynnym zachodzie słońca — bez długiego zmierzchu, bez ostrzeżenia.



Mojżesz wszedł do morza po kolana.

Woda była zimna. Fale uderzały w jego szatę i ciągnęły ją w dół jak coś, co chciało go zatrzymać. Trzymał laskę wyciągniętą nad morze, a wiatr — silny, gorący, ze wschodu, wiatr, który nie miał tu czego szukać o tej porze roku — zerwał się nagle.

Wiał przez całą noc.

Nikt z Izraela tej nocy nie spał. Stali i patrzyli, jak morze — wielkie, czarne, niepojęte — zaczyna się zachowywać jak coś, co słucha rozkazu. Woda cofała się. Nie jak przy odpływie, powoli i równomiernie. Gwałtownie. Z hukiem. Jakby morze odsuwało się od czegoś, czego się bało.

Pośrodku pojawiło się dno.

Suche. Twarde. Z kamieniami, muszlami i wszystkim, co przez wieki leżało pod wodą i nigdy nie spodziewało się zobaczyć nieba.

Ściana wody po lewej stronie sięgała wysokości dwudziestu łokci i stała pionowo jak mur z zielonego szkła, i widać było przez nią ryby — nieruchome, zawieszone, zdeorientowane — które nie rozumiały, co się stało z ich światem.

To samo po prawej.

Droga była gotowa.



Pierwszy wszedł Nachszon ben Aminadab z pokolenia Judy.

Nie czekał na rozkaz. Wziął swój tobolek, wziął żonę za rękę, spojrzął na dno morza i wszedł. Mówiono potem, że szedł, aż woda sięgnęła mu do szyi, i dopiero wtedy droga się otworzyła. Ale to była historia, którą opowiadano dzieciom. Prawda była prostsza i bardziej zdumiewająca: wszedł, bo ktoś musiał wejść pierwszy, i wybrał siebie.

Za nim ruszył Izrael.

Dwa miliony ludzi.

Na suchym dnie morza, między ścianami wody, które stały po obu stronach jak żywe mury i szumiały głucho jak muszla przyłożona do ucha — jakby morze oddychało — szły rodziny, klany, pokolenia. Dzieci, które nie rozumiały, co się dzieje, ale bały się mniej niż dorośli, bo dorośli wiedzą, ile można stracić. Starcy, którzy pamiętali Egipt, a teraz nie płakali, bo łzy wypłakali dawno temu i zostało im tylko to ciężkie, milczące zdumienie.

W środku pochodu niesiono kości Józefa.

Spoczywały w cedrowej skrzyni owiniętej lnem, którą na zmianę dźwigali na ramionach ludzie z pokolenia Efraima i Manasses — synowie synów jego synów. Cztery lata wcześniej Józef, syn Jakuba, kazał swoim braciom przysiąc, że kiedy Bóg ich nawiedzi, nie zostawią go w egipskiej ziemi. Pokolenia umierały w niewoli, a przysięga czekała. Mojżesz jej nie zapomniał. W noc wyjścia, gdy cały Egipt opłakiwał pierwo-

rodnych, kazał odkopać grób i zabrał kości ze sobą. Nikt nie szedł obok skrzyni ze śmiechem ani z krzykiem. Szło się przy niej tak, jak idzie się obok starszego, który dotrzymał słowa — bo w pewnym sensie to on przyprowadził ich tutaj pierwszy.

Szli przez całą noc.



O świcie Horemheb dał rozkaz.

Obłok odsunął się tuż przed brzaskiem i generał zobaczył: morze rozstąpione, Izraelitów idących po dnie ku drugiemu brzegowi i drogę między ścianami wody otwartą jak brama.

Rydwany ruszyły.

Sześćset rydwanów wjechało na suche dno morza w kolumnach po cztery. Kopyta grzmiały o twardy grunt, woźnice wznosili bicz, łucznicy napinali łuki, a okrzyk bojowy armii egipskiej — „Za faraona!” — niósł się ponad wodą jak wyzwanie rzucone niebu.

Horemheb jechał na czele. Widział plecy Izraelitów — prawie wszyscy byli już na drugim brzegu — i liczył w głowie odległość i prędkość. Wiedział, że dogoni ich, zanim się rozproszą.

I wtedy koła zaczęły grzęznąć.

Najpierw jeden rydwan. Potem drugi. Dno, które pod stopami Izraelitów było twarde jak kamień, pod kołami egipskich rydwanów zrobiło się miękkie jak błoto. Koła zapadały się w muł. Konie szarpały i ślizgały się. Woźnice krzyczeli. Kolumna zaczęła się zbijać.

— Z powrotem! — krzyknął ktoś z tyłu.

Horemheb uniósł rękę.

Za późno.



Mojesz stał na drugim brzegu z wyciągniętą laską.

Wiatr zmienił kierunek.

Ściany wody drgnęły.

To nie był powolny ruch. Morze nie zbierało się i nie ostrzegało. Wróciło jak coś, co odciągnięto z całej siły, a teraz nagle puszczone. Z hukiem, który zagłuszył krzyki ludzi i koni — hukiem, który świadkowie opisywali potem jako coś pomiędzy gromem a trzęsieniem ziemi — ściany wody zwały się do środka.

Rydwany, konie, żołnierze, łucznicy, woźnicy, generał Horemheb na karym koniu, trzydzieści lat służby i zwycięstw — wszystko zniknęło pod wodą szybciej, niż człowiek zdążyłby pojąć, co się dzieje.

Morze wróciło na swoje miejsce.

Fale. Zieleń. Spokój.

Jakby nic nie było.



Na brzegu panowała cisza.

Nie taka cisza jak przed burzą. Taka jak po czymś, na co nie ma słów — bo słowa opisują rzeczy, które mieszczą się w granicach możliwego, a to, co się właśnie stało, wykraczało daleko poza nie.

Potem fale zaczęły wyrzucać na brzeg szczątki.

Konie. Złamane koła rydwanów. Tarcze z brązu. Hełmy z piórami strusimi. Łuki. Włócznie. Ciała egipskich żołnierzy kołyszące się w wodzie jak szmaciane lalki, z twarzami spokojnymi w śmierci jak nigdy za życia.

Izrael patrzył.

Jeden starzec uklęknął. Potem drugi. Potem kobiety, mężczyźni, dzieci — padali na kolana nie dlatego, że ktoś kazał, ale dlatego, że to był jedyny ruch, który miał sens, gdy staje się przed czymś takim.

Aaron odwrócił się do Mojżesza.

Przez długą chwilę milczał.

— Widziałem — odezwał się w końcu cicho — jak Nil stał się krwią. Widziałem żaby pokrywające pałace. Widziałem grad mieszany z ogniem. Widziałem śmierć pierworodnych.

Urwał.

— Ale to...

Mojżesz patrzył na morze. Na ciała. Na to, co zostało, gdy Egipt zde-
rżył się z wolą Boga.

— To jest kres — powiedział. — Egipt skończył się dziś nad tym mo-
rzem. Nie armia. Nie faraon. Egipt. To, co staje przed oczami, gdy się
mówi „potęga” i „niemożliwe”. Skończyło się.

Aaron spojrzał na tłum klęczący na brzegu.

— Boją się bardziej niż przed chwilą.

— Tak — powiedział Mojżesz. — Właśnie dlatego muszę teraz do
nich mówić.

Aaron pokiwał głową.

— Co im powiesz?

Mojżesz obrócił się i spojrzał na lud — na dwa miliony twarzy patzą-
cych na niego z tym samym wyrazem co zawsze, gdy coś przekraczało
ich rozumienie. Oczekiwanie. I lęk, że może ten człowiek z łaską wie
równie mało jak oni, a różni ich tylko to, że on jeden miał czelność stanąć
na brzegu i wyciągnąć rękę.

— Powiem im, żeby śpiewali — odrzekł.

Aaron zmrużył oczy.

— Żeby śpiewali?

— Bo to jedyne, co można zrobić, gdy brakuje słów. — Mojżesz od-
chrząknął i podniósł głos: — Śpiewajmy Jahwe, bo okrył się chwałą! Ko-
nia i jeźdźca pogrążył w morzu!

Tłum milczał przez jedno uderzenie serca.

Potem pieśń podchwycił jeden głos, po nim dziesiątki, wreszcie setki
tysięcy.

Miriam, siostra Aarona, wzięła bębenek w dłonie i wybiegła przed ko-
biety, i zaczęła tańczyć, i kobiety tańczyły za nią, i śpiew niósł się nad
brzegiem morza, gdzie leżały szczątki armii egipskiej, i fale przynosiły
kolejne ciała, i Izrael śpiewał.

Mojżesz stał z boku i słuchał.

W jego oczach nie było triumfu. Było zmęczenie — głębokie, sięgające kości, takie, jakie zostaje, gdy przez lata niesie się coś ciężkiego, a potem nagle można to odłożyć, choć mięśnie wciąż pamiętają ciężar.

I coś jeszcze.

Wiedział coś, czego lud jeszcze nie wiedział. Że droga nie skończyła się nad tym morzem. Że Kanaan jest daleko i pełen ludzi, którzy nie zamierzają oddać swojej ziemi bez walki. Że to, co przed chwilą zobaczyły dwa miliony ludzi — cud tak wielki, że aż niemożliwy — wystarczy im na trzy dni zachwyty. A czwartego dnia ktoś zacznie narzekać na wodę.

Znał swój naród.

Ale znał też swojego Boga.

I to wystarczyło, żeby ruszyć w drogę.

Odwrócił się tyłem do morza i stanął twarzą do pustyni.

Przed nimi był Synaj. Przed nimi był Kanaan. Przed nimi było wszystko, co Jahwe obiecał i co Izrael musiał jeszcze zdobyć własną ręką i własną krwią, bo obietnica nie jest tym samym co spełnienie, i każdy naród musi sam przejść drogę między nimi.

Mojżesz ruszył pierwszy.

Za nim ruszył Izrael.

A morze za ich plecami szumiało spokojnie, tak jak szumi od zawsze, obojętne na to, co ludzie nazywają cudami, a co ono samo zna po prostu jako wolę właściciela.

Koniec · Prolog

Dzieci pustyni



Słońce jeszcze nie wzeszło, kiedy obóz Izraela zaczął się poruszać. Najpierw obudziły się kozy. Potem psy pasterskie. Potem kobiety. Na końcu dzieci — choć to ostatnie było raczej umowne, bo większość dzieci w obozie w ogóle nie spała głęboko. Pustynia nie sprzyja głębokiemu snu. Zawsze jest jakiś dźwięk, jakiś zapach, jakaś zmiana wiatru, która mówi, że świat nie zatrzymał się na noc i nie zamierza czekać na tych, którzy by chcieli, żeby tak było.

Obóz rozciągał się szeroko jak miasto z płótna i skóry. Setki namiotów stały w długich rzędach, a między nimi prowadziły wąskie ścieżki wydeptane przez tysiące stóp. Każda rodzina miała swoje miejsce, każdy ród swój odcinek, każde pokolenie swoją część obozu, wyznaczoną przez starszych i pilnowaną z tą samą zaciętością, z jaką Izraelici strzegli swoich owiec — czyli intensywnie, ale bez przesadnej nadziei na dobre wyniki. Nad namiotami wisały sztandary plemion — barwne, choć wypłowiałe od pustynnego słońca, postrzępione przez wiatr, ale wciąż rozpoznawalne.

W samym środku obozu wznosiło się miejsce, którego nikt nie przekraczał bez czci. Przybytek Jahwe. Namiot Spotkania otoczony podwójnym płótnem, z drewnianymi słupami i srebrnymi haczykami, z ołtarzem przed wejściem, na którym zawsze tlił się ogień. Tam służyli kapłani Aarona i Lewici, którzy pilnowali świętych rzeczy Izraela — Arki, stołu chlebów pokładnych, złotego świecznika o siedmiu ramionach. Nad tym

miejszem zawsze unosiła się cisza inna niż wszędzie. Ciężka. Spokojna. Pełna czegoś, czego nie można było nazwać, bo każde imię byłoby za małe.

Ale na skraju obozowiska, gdzie namioty były już trochę krzywe i sznury napięte nie zawsze tam, gdzie trzeba, życie było zwyczajne.

Sira już nie spała.

Miała sześć lat i uważała, że świat jest ciekawszy niż sen. Wyszła z namiotu, zanim matka zdążyła ją zatrzymać — co nie było trudne, bo matka spała twardo, a Sira poruszała się cicho jak kot, odkąd kilka razy wcześniej narobiła hałasu i poniosła konsekwencje. Piasek był jeszcze chłodny pod bosymi stopami, powietrze pachniało dymem wygasłych ognisk, mlekiem kóz i tym suchym, mineralnym zapachem pustyni, który po pewnym czasie człowiek przestaje czuć, bo staje się częścią niego samego.

A ziemia była biała.

Manna. Drobne ziarenka rozsypane po piasku jak śnieg, jak sól, jak coś, dla czego nie ma dobrego porównania, bo nic, z czym można by je porównać, nie spada z nieba każdej nocy. Zbierali ją od lat — odkąd wyszli z Egiptu, odkąd morze się rozstąpiło i znowu zamknęło, odkąd zaczęła się ta droga, której końca wciąż nie było widać. Każdego ranka tyle, ile potrzeba na jeden dzień. Nie więcej. W szabat dwa razy tyle, bo w szabat się nie zbiera. Jahwe miał swoje zasady i nie był elastyczny w kwestii ich stosowania.

Sira uklękła i podniosła jedno ziarenko. Ważyło tyle co nic. Miało słodkawy smak i konsystencję czegoś pomiędzy mąką a rosą — i pokoleń skrybów będą się spierać, jak to opisać, a żaden nie znajdzie właściwego słowa.

— Spadła znowu — powiedziała z zachwytem.

— Zawsze spada — odezwał się ktoś za jej plecami. Głos spokojny, lekko zachrypnięty od porannej ciszy.

To był jej ojciec. Heber, syn Nachona, siedział przy ognisku i ostrzył grot włóczni powolnymi, rytmicznymi ruchami kamienia. Był wysokim,

szerokim człowiekiem o ramionach jak belki namiotu i twarzy opalanej do koloru ciemnego drewna przez lata spędzone na pustyni. Miał na sobie prostą lnianą szatę i sandały z wielbłądziej skóry i wyglądał jak większość mężczyzn w obozie — ale poruszał się inaczej. Przez wiele lat był w Egipcie strażnikiem karawan, człowiekiem, który przeprowadzał kupców przez pustynię i walczył z tymi, którzy chcieli im zabrać towar. Teraz był kupcem. Ale ciało nie zapomina lat walki tak szybko jak głowa.

— Tato.

— Co znowu.

— Opowiedz o bandytach.

Westchnął. Było to westchnienie człowieka, który wie, że musi to zrobić, i który w gruncie rzeczy nie ma nic przeciwko, ale czuje, że jakaś forma protestu jest stosowna.

— Znowu?

— Znowu.

— Wczoraj ci opowiadałem.

— Ale inaczej.

— Jak inaczej?

— Bez tej części gdzie rzuciłeś nożem.

Ojciec odłożył kamień i wziął włócznię. Przez chwilę patrzył na grot jak ktoś, kto sprawdza, czy praca jest skończona. Skończona jeszcze nie była, ale na tyle dobra, żeby ją na chwilę odłożyć.

— Dobrze. Ale to naprawdę ostatni raz.

Sira natychmiast usiadła obok niego ze skrzyżowanymi nogami i twarzą człowieka, który zamierza słuchać z pełną uwagą, co zdarzało jej się rzadko przy czymkolwiek innym.

— Szliśmy przez pustynię trzy dni bez wody — zaczął ojciec. — Karawana była zmęczona. Wielbłądy też. Kupcowi zaczęło chodzić po głowie, że może zostawił zbyt dużo towaru w Egipcie i za mało wziął wody, i miał rację w obu kwestiach. I wtedy zobaczyłem kurz na horyzoncie.

— Bandyci.

— Bandyci. Trzech.

Sira otworzyła usta, żeby powiedzieć coś o liczbie, ale ojciec uprzedził ją gestem.

— Trzech. Zgoda. Duzi. Na dobrych koniach. Z mieczami i łukami. Kupiec zaczął się trząść. Poganiacz wielbłądów zaczął się modlić. Strażnicy — a było nas dwóch — spojrzeliśmy po sobie.

— I co zrobiłeś?

— Powiedziałem drugiemu strażnikowi, żeby trzymał wielbłądy i się nie ruszał. A sam wyjechałem im naprzeciw.

— Sam?

— Sam.

Sira zmrużyła oczy w wyrazie, który u sześciolatki mógłby uchodzić za sceptycyzm.

— Dlaczego?

— Bo bandyci są jak psy. Idą za tym, kto się cofa. Ale jeśli cofa się cała karawana, to biorą wszystko. Jeśli jeden człowiek wyjeżdża im naprzeciw — zwalniają. Myślą.

— A potem?

— A potem rzuciłem nożem. Trafił pierwszego w ramię. Drugi zawrócił natychmiast, bo zrozumiał, że to nie kupiec, tylko ktoś z innej branży. Trzeci chciał walczyć, ale kiedy zobaczyłem, że jest sam, już nie chciał.

Sira chwilę przetrawiła tę informację.

— Naucz mnie rzucać nożem.

— Masz sześć lat.

— Ale będę wojownikiem.

Ojciec spojrział na nią poważnie, jakby rozważał argument.

— Zacznijmy od chodzenia prosto. Wczoraj potknęłaś się o własne sandały.

— To były cudze sandały. Dalia je zostawiła.

W tym momencie z namiotu wyszła matka, niosąc kosz na mannę i twarz kogoś, kto obudził się za wcześnie i zamierza to wybaczyć, ale nie od razu. Miała ciemne włosy, spokojne oczy i sposób poruszania się, któ-

ry sugerował, że wszystko jest pod kontrolą, nawet kiedy absolutnie nie jest.

— Opowiadasz jej te historie.

— Sama chce słuchać.

— To prawda — potwierdziła Sira.

Matka postawiła kosz i zaczęła zbierać mannę metodycznie, garść po garści. Za nią z namiotu wyszła Dalia — młodsza o rok, o twarzy spokojnej jak woda w studni i oczach, które zawsze patrzyły trochę dalej niż reszta ludzi. Usiadła obok matki i też zaczęła zbierać, ale powoli, jakby każde ziarenko wymagało chwili zastanowienia.

— Jahwe nas karmi — powiedziała cicho, patrząc na białe ziarenka w dłoniach.

— Tak — powiedziała matka i pogładziła ją po głowie.

— I prowadzi.

Sira prychnęła.

— A ja będę wojownikiem.

Dalia podniosła na nią wzrok.

— Jesteś dziewczyną.

— Wiem.

— Dziewczyny nie muszą walczyć.

— Ja będę.

Dalia rozważyła to przez chwilę z powagą, na jaką zasługuje każda ważna deklaracja.

— To bardzo dużo pracy — powiedziała w końcu.

— Wiem.

— I pewnie boli.

— Wszystko boli. Nawet chodzenie w cudzych sandałach.

Ojciec wybuchnął śmiechem. Matka pokręciła głową. Dalia wróciła do zbierania manny. Mały pies pasterski wyszedł spod namiotu, ziewnął szeroko pokazując wszystkie zęby, obejrzał świat i postanowił, że jest zadowolający. Usiadł przy Sirze i położył łeb na jej kolanie.



Dzień w obozie rozwijał się powoli i przewidywalnie, bo takie są dobre dni — nie zdarza się w nich nic, o czym warto by opowiadać.

Kobiety miały manę w ręcznych żarnach — monotony, rytmiczny dźwięk, który niósł się między namiotami od świtu do południa. Mężczyźni naprawiali uprząże i narzędzia, łątali namioty, rozmawiali o drodze i o tym, kiedy w końcu dojdą, bo rozmawiali o tym, odkąd sięgali pamięcią, a odpowiedź zawsze brzmiała: wkrótce, Jahwe prowadzi, nie trać wiary — co jest poprawną odpowiedzią teologicznie, ale mało konkretną logistycznie.

Sira ćwiczyła z patykiem.

Ojciec pokazał jej podstawowy chwyt i dwa ruchy — pchnięcie i zasłona górna — po czym wrócił do ostrzenia grotu, bo miał do skończenia robotę. Sira ćwiczyła sama, z taką powagą i skupieniem, jakich większość dorosłych nigdy nie osiąga przy żadnej czynności. Patyk był za długi i za ciężki jak na sześciolatkę, ale nie zwracała na to uwagi. Chwyt. Krok. Pchnięcie. Znowu. Znowu. Mały pies biegał wokół niej, nie wiedząc, czy to zabawa, czy coś, w czym powinien brać udział.

Dalia siedziała w cieniu namiotu i słuchała.

Niedaleko starsza kobieta śpiewała Pieśń Mojżesza — powoli, bez melodii, która trzymałaby się jednej tonacji, ale z takim przekonaniem, że do piękna brakowało jej tylko rytmu. Dalia zamknęła oczy i powtarzała słowa cicho za nią.

— Jahwe jest moją siłą i moją pieśnią, On stał się moim ocaleniem...

— Nie możesz ćwiczyć ze mną? — zapytała Sira, przerywając pchnięcie.

— Nie chcę.

— Ale gdyby ktoś na ciebie napadł —

— Jahwe mnie ochroni.

Sira zmrużyła oczy.

— A gdyby nie zdążył?

Dalia otworzyła oczy i spojrzała na siostrę z wyrazem kogoś, kto właśnie usłyszał pytanie, na które odpowiedź jest oczywista, ale nie wie, jak tę oczywistość wytłumaczyć.

— Jahwe zawsze zdąży.

Sira uznała, że ta rozmowa nie prowadzi donikąd. Wróciła do ćwiczeń. Patyk. Krok. Pchnięcie.



Spokój trwał dokładnie do chwili, gdy zza namiotów wyłonili się bliźniacy Boaza — Efron i Elan, albo Elan i Efron, bo nikt poza nimi samymi nie był pewny — i ogłosili, że Dalia jest im winna jedną figę, ponieważ przegrała zakład.

— Nie przegrałam — powiedziała Dalia, nie otwierając oczu. — Bo nie zakładałam się z wami.

— Założyłaś się wczoraj. Że nie zjemy całej miski daktyli naraz.

— Powiedziałam, że *nie powinniście*. To nie jest zakład. To jest ostrzeżenie. — Dalia otworzyła jedno oko. — I jak, zjedliście?

Bliźniacy spojrzeli po sobie tym swoim spojrzeniem, którym porozumiewali się bez słów, i nagle obaj zrobili się trochę zieloni na twarzy. Bo owszem, zjedli. Wszystkie. I noc mieli, delikatnie mówiąc, pracowitą.

— To się nie liczy — oświadczył jeden z nich z godnością człowieka broniącego przegranej sprawy.

— Wszystko się liczy — powiedziała Dalia słodko. — Mama mówi, że nawet daktyle się liczą. Zwłaszcza w drugą stronę.

Sira parsknęła śmiechem nad swoim patykiem. Bliźniacy, pokonani przez logikę i własne żołądki, wycofali się szukać łatwiejszej ofiary. Dalia zamknęła z powrotem oko i wróciła do słuchania pieśni, jakby nic się nie stało — ale w kąciku jej ust został cień zadowolenia z dobrze rozegranej potyczki.



Później, kiedy słońce stało wysoko, Sira znalazła siostrę przy zagrodzie dla kóz, kucającą nad czymś w piasku. Podeszła i zobaczyła: pisklę — małe, szare, wypadłe z gniazda pod skalną półką, z jednym skrzydłem ułożonym nie tak, jak trzeba. Wróble gnieździły się w skałach nad obozem, a to wypadło i nie umiało wrócić.

— Zostaw — powiedziała Sira. — I tak zdechnie. Wszystko, co wypadnie z gniazda, zdycha.

— Może — powiedziała Dalia. Nie spierała się, bo Dalia rzadko się spierała. Ale dalej robiła swoje: zrobiła z gałązki i suchej trawy małe gniazdo w wyciętej tykwie, włożyła do niego pisklę, naskubała okruszków z placka i rozmiękczała je w kropli wody na czubku palca. Robiła to z tą cierpliwością, której Sira nie miała do niczego poza ostrzeniem noża — godzina, dwie, kropla po kropli.

— Po co? — zapytała Sira, naprawdę nie rozumiejąc. — Strata czasu.

Dalia zastanowiła się, jak zwykle poważnie, zanim odpowiedziała.

— Bo ono nie wie, że ma zdechnąć — powiedziała w końcu. — Myśli, że ma żyć. Więc póki tak myśli, ja mu pomagam. — Podniosła wzrok. — Ty pilnujesz, żeby nas nikt nie skrzywdził. Ja pilnuję, żeby ktoś pamiętał, że warto być dobrym. To są dwie różne roboty, Siro. Obie potrzebne.

Sira nie miała na to odpowiedzi. Pisklę zresztą i tak zdechło dwa dni później — ale to było dwa dni, przez które ktoś przy nim był, i Dalia nie uznała tego za przegraną. „Dwa dni to dwa dni”, powiedziała, i pochowała je pod kamieniem z taką powagą, jakby chowała kogoś ważnego.



Wieczorem, zanim zawołano je do ogniska, leżały obok siebie na kocu i patrzyły, jak niebo przechodzi z błękitu w ten głęboki, ciepły kolor, który ma tylko pustynia tuż przed zmrokiem.

— Wiesz, co zrobię, jak dojdziemy do Kanaanu? — powiedziała Dalia. — Posadzę figowiec. Własny. I będę pod nim siedzieć, kiedy będzie

duży i da cień. I będę miała dom z prawdziwymi drzwiami, takimi na zawiasach, co się otwierają i zamykają, nie płachtą. I kozę. Może dwie. I imiona im dam — nie „koza”, tylko prawdziwe imiona.

— Kozom dasz imiona — powtórzyła Sira.

— Każdy zasługuje na imię — powiedziała Dalia z przekonaniem. — Nawet koza. A ty co zrobisz?

Sira zastanowiła się. Jej marzenia były inne — krótsze, twardsze, mniej o drzewach.

— Nauczę się walczyć tak dobrze, że nikt nigdy nie skrzywdzi nikogo, kogo lubię.

Dalia obróciła głowę i spojrzała na siostrę długo, tym swoim spojrzeniem, które czasem wydawało się starsze niż ona sama.

— To smutne marzenie — powiedziała cicho. Bez wyrzutu, po prostu stwierdzając. — Moje jest o tym, co chcę mieć. Twoje jest o tym, czego się boisz. — Zastanowiła się przez chwilę. — Wiesz co? Zrobimy tak: ty będziesz pilnować, a ja będę sadzić figowce. I wtedy będzie i bezpieczeństwo, i ładnie. Dobrze?

— Dobrze — powiedziała Sira, choć nie do końca rozumiała, na co się zgadza. Wtedy jeszcze nie wiedziała, że to będzie jedno z tych zdań, które wrócą do niej po latach — że przez trzynaście lat na pustyni będzie pilnować, owszem, ale nie będzie już komu sadzić figowców. I że właśnie ten brak, ta pusta połowa umowy, będzie bolał najmocniej.



Kilka dni później, po południu, zaczęły się kłopoty. Tego ranka manna nie spadła — i nie był to pierwszy raz od kilku dni, bo susza manny trafiała się co pewien czas i zawsze powodowała to samo: najpierw szepty, potem głosy, potem krzyki.

Szepty były o tym, że Jahwe ich wystawia na próbę i trzeba mieć wiarę.

Głosy były o tym, że próby trwają już zbyt długo i człowiek ma swoje granice.

Krzyki były o Egipcie.

Zawsze były o Egipcie. To był niezawodny punkt dojścia każdej rozmowy, która zaczynała się od niedoboru jedzenia, wody albo cierpliwości. Egipt był miejscem, które znali. Tam było cierpienie — ale cierpienie znajome, oswojone, z określonymi zasadami i przewidywalną codziennością. Tu była wolność — ale wolność w sercu pustyni, gdzie wolność znaczy głównie tyle, że jesteś wolny umrzeć z pragnienia albo z głodu, i to ty podejmujesz tę decyzję, a nie faraon.

— W Egipcie przynajmniej był chleb — mówiła jedna kobieta do drugiej przy wygaszonym palenisku.

— I mięso — mruczał stary mężczyzna. — Pamiętam ryby. Za darmo jadłem ryby nad Nilem.

— Za darmo — powtórzył ktoś z goryczą. — Za cenę pracy od świtu do nocy przy cudzych budowlach.

— Żyłem. Teraz też żyję, ale nie wiem po co.

Sira słuchała tych rozmów, siedząc przy ojcu. Nie rozumiała wszystkiego — zbyt wiele odniesień do czasów przed jej urodzeniem, do miejsc, których nie widziała, do tęsknoty za czymś, co wcale nie brzmiało jej jak raj, choć dorośli tak to opisywali. Ale rozumiała ton. I rozumiała, że coś się zmienia w powietrzu obozu.

A potem ktoś wyciągnął złotą figurkę.

Byk. Mały, odlany z brązu pokrytego cienką warstwą złota, z rogami wygiętymi do góry i oczami zrobionymi z czarnego kamienia. Właściciel trzymał go w górze i mówił coś głośno, coś o bogach Egiptu, którzy dawali urodzaj i wodę. Za nim ktoś drugi. Trzeci. Z toreb i sakw zaczęły wychodzić rzeczy, które przez całą drogę przez pustynię były schowane głęboko — figurki ptaków, skarabeusze, małe obrazki bogów z głowami zwierząt. Egipt, który wzięli ze sobą bez pozwolenia i do którego nie chcieli się przyznać.

Ojciec Siry wstał.

— Tato — powiedziała cicho Sira.

— Zostań tu. Z Dalią.

Poszedł do grupy starszych mężczyzn, którzy rozmawiali z napiętymi twarzami. Sira usłyszała urywki — *kapłani wiedzą, lud się burzy, ktoś musi pójść do Przybytku*. Coraz więcej głosów, coraz głośniejsze. Mały pies skulił się przy jej nodze.

Dalia siedziała nieruchomo i patrzyła na tłum.

— Boją się — powiedziała cicho.

— Wiem.

— Kiedy człowiek się boi, zapomina rzeczy.

Sira spojrzała na siostrę.

— Jakie rzeczy?

Dalia przez chwilę milczała.

— Że nie jest sam.



Mojżesz wyszedł z Przybytku bez płaszcza i bez laski, co było złym znakiem — bo Mojżesz bez laski wyglądał jak każdy stary człowiek, a kiedy wyglądał jak każdy stary człowiek i mimo to otwierał usta, to znaczyło, że to, co powie, nie będzie miłe.

— MILCZCIE!

Tłum zamarł. Jego głos był zaskakująco donośny jak na człowieka w tym wieku i tej postury, co zawsze trochę dezorientowało tych, którzy słyszeli go po raz pierwszy.

— Ludu twardego karku! — Teraz mówił spokojnie, a to było gorsze niż krzyk. — Ludu, który widział morze rozstępujące się przed jego stopami! Który jadł chleb z nieba i pił wodę ze skały! Który widział ogień Jahwe nocą i obłok za dnia przez wszystkie te lata — i teraz stoi z egipskimi figurkami w rękach i pyta, gdzie jest jego Bóg?!

Nikt nie odpowiedział. Kilku mężczyzn powoli chowało figurki za plecy z miną kogoś, kto ma nadzieję, że nie było to widać.

— Gdzie jest Jahwe — powtórzył Mojżesz, ciszej, niemal do siebie.

— Jest tam, gdzie był zawsze. Patrzy na was. I czeka, aż przestaniecie się

zachowywać jak ludzie, którym pokazano, co jest możliwe, a oni wciąż nie wierzą.

Jeden mężczyzna z tyłu tłumu krzyknął coś o jedzeniu i dzieciach. Mojżesz spojrzał w jego stronę. Zapadła cisza. Potem Lewici wynieśli Arkę Przymierza — złoto zaśniono w popołudniowym słońcu — i powietrze zgęstniało w ten szczególny sposób, który Sira poczuła wtedy po raz pierwszy w życiu i zapamiętała na zawsze: jakby coś bardzo dużego i bardzo cichego zatrzymało się właśnie tu i słuchało.

Piorun uderzył w ziemię kilka kroków od tłumu. Jeden raz. Potem drugi. Dwie osoby padły. Krzyk przerażenia rozszedł się jak fala i nagle cały tłum klęczał — nie dlatego, że ktoś kazał, ale dlatego, że kolana same z siebie uznały, że to właściwa pozycja.

Sira wcisnęła się w ojca, który wrócił i stał za nią.

— Boisz się? — zapytał cicho.

Zastanowiła się przez chwilę. To było uczciwe pytanie i zasługiwało na uczciwą odpowiedź.

— Trochę.

— Dobrze. Strach przy właściwych rzeczach jest mądry.

Manna zaczęła spadać. Najpierw kilka ziarenek, potem więcej, potem gęsto jak prawdziwy deszcz — i tłum, który chwilę wcześniej klęczał ze strachu, zaczął wstawać ze śmiechem i łzami jednocześnie, bo człowiek jest tak zbudowany, że potrafi robić obie te rzeczy naraz i wcale mu to nie przeszkadza.

Ojciec Siry położył rękę na jej ramieniu.

— Zapamiętaj to.

— Co?

— Że ten sam człowiek, który przed chwilą tańczył z egipskim bykiem, za chwilę będzie śpiewał psalm. I obydwie będą szczerze.

Sira patrzyła na tłum.

— Dlaczego?

Ojciec zastanowił się.

— Bo człowiek jest słabszy, niż myśli, i silniejszy, niż chciałby przyznać. I całe życie spędza gdzieś pomiędzy jednym a drugim.



Wieczór przy ognisku rodziny Hebera był czymś, na co Sira i Dalia czekały przez cały dzień — bo wieczory przy ognisku z wujkiem Boazem były zawsze warte czekania.

Boaz, brat matki, przyszedł z rodziną jeszcze przed zachodem słońca. Widać go było z odległości — był to człowiek, którego nie sposób nie zauważyć — nie dlatego, że był wysoki czy hałaśliwy, ale dlatego, że zajmował więcej miejsca, niż wynikałoby z jego wymiarów. Szeroki w barkach, z brzuchem, który świadczył o tym, że nie zaznał wielu lat postu w Egipcie, z brodą przystrzyżoną w ząbki i oczami wesołymi jak u człowieka, który jest pewien, że świat jest w gruncie rzeczy miejscem komicznym, a rozumie to tylko część ludzi.

— Heber! — zawołał już od progu, choć progu nie było, bo to był namiot. — Słyszałem, co się działo przy Przybytku! Czy to prawda, że piorun trafił kogoś, kto miał złotego byka?

— Dwóch ludzi padło — powiedział Heber.

— Dwóch! — Boaz usiadł ciężko przy ognisku, a ogień zatrzeszczał, jakby Boaz przyniósł ze sobą dodatkowy ciężar powietrza. — Ciekawe. Całe popołudnie modliłem się do Jahwe, żeby przypadkiem nie trafił we mnie, bo byłem przekonany, że czasem chybia. Ale może jednak wie, co robi.

— Boaz — dobiegł zza jego pleców spokojny głos Mirty, jego żony, kobiety, która nauczyła się dobrze dawkować sprzeciw. — Nie bluźnij.

— Ja nie bluźnię! Wyrażam podziw! To różnica!

Mirta weszła w krąg światła zaraz za nim — drobna, cicha, z twarzą kogoś, kto od lat trwoni siły na opanowywanie rzeczy, których nie da się opanować — a za nią dwaj chłopcy. Bliźniacy. Może siedem lat, może osiem. Podobni jak dwie krople wody z tego samego źródła, o czym obaj

doskonale wiedzieli i co regularnie wykorzystywali — ku własnej wygodzie i rozpaczy reszty obozu.

— Efron i Elan — powiedział Heber do córek. — Znacie ich.

— Ja jestem Efron — powiedział jeden.

— Ja jestem Efron — powiedział drugi.

Chwila ciszy.

— Który jest który? — zapytała Sira.

Obaj roześmiali się i pobiegli w kierunku psa pasterskiego, który natchmiast uciekł pod namiot, bo pies miał swoje doświadczenia z tymi dwoma.

— Nie da się ich odróżnić — wyznała Mirta ze zmęczoną godnością.
— Nawet matka nie zawsze.

— Ja zawsze wiem, który jest który — powiedział Boaz.

— Bo pytasz Elana, który jest Efronem.

— I co w tym złego? Skuteczna metoda.



Przy ognisku zrobiło się gwarnie. Matka Siry — Aszera, córka Lewiego — przyniosła placki z mąki z manny i suszone owoce, Mirta dołożyła oliwę i sól, i przez chwilę siedzieli wszyscy razem w ciepłym kręgu światła, czworo dorosłych i czworo dzieci, i było to dokładnie to, co obóz na pustyni potrafi dać najlepszego — poczucie, że w tym miejscu i czasie jest pod dostatkiem wszystkiego, co ważne.

Boaz wziął kawałek placka, obejrzał go krytycznie i powiedział:

— Wiesz, Heber, w Egipcie jadałem chleb, który smakował jak chleb. Teraz jem chleb, który smakuje jak manna. Bo jest zrobiony z manny. Bo Jahwe daje mannę i nie pyta, czy ktoś nie chciałby przypadkiem odmiany.

— Manna jest darem — powiedziała Aszera.

— Darem, zgoda. Ale może raz na miesiąc mógłby dać pszenicę? Dla urozmaicenia? Nie mówię, żeby codziennie. Rozumiem, że Kanaan jest daleko.

— Boaz — powiedziała Mirta.

— Nie bluźnię. Wyrażam gastronomiczne aspiracje.

Heber roześmiał się. Aszera też, choć z miną kogoś, kto stara się tego nie robić.

— Opowiedz im o wielbłądzie — powiedział Heber.

— O którym wielbłądzie? Miałem do czynienia z wieloma wielbłędami przez te wszystkie lata i każdy był nieprzyjemny na swój sposób.

— O tym z Memfis.

Oczy Boaza rozbłysły. Sira i Dalia natychmiast przeniosły się bliżej — bo ton głosu Hebera mówił, że to będzie historia warta słuchania.

— A! Ten wielbłąd — powiedział Boaz, prostując się i nabierając powietrza jak bard przed śpiewem. — Słuchajcie. Byłem wtedy młodszy. Pracowałem z waszym ojcem przy karawanach — ja pilnowałem wielbłądów, on pilnował, żeby nikt ich nie ukradł. Dobry podział obowiązków. I mieliśmy jednego wielbłąda, egipski gatunek, długa szyja, pogardliwy wyraz pyska, temperament faraona przy złym humorze.

— Wielbłądy mają pogardliwy wyraz pyska, bo na niego zasługują — wtrąciła Mirta.

— Mirta. Proszę. Opowiadam.

— Opowiadaj.

— Więc. Ten wielbłąd nie lubił być prowadzony. Chciał iść sam. Gdy go prowadziłeś — gryzł. Gdy szedł sam — szedł, gdzie chciał, a niekoniecznie tam, gdzie karawana. Trudne zwierzę. Ale Heber mówi: Boaz, daj radę, bo nikt inny nie da. I ja daję radę. Przez dwa tygodnie uczę tego wielbłąda szacunku. Codziennie rano rozmawiam z nim.

— Rozmawiałeś z wielbłądem — powiedział Heber beznamiętnie.

— Rozmawiałem. I słuchał. Bo wielbłąd to stworzenie, które ma duszę, tylko ukrywa ją za pychą. Więc po dwóch tygodniach wielbłąd mnie lubi. Idzie za mną jak pies. Kupiec jest zachwycony. I wtedy — słuchajcie — przyjeżdża inspektor faraona, wielki człowiek w białej szacie ze złotą obrączką. Chce sprawdzić stan karawany. Podchodzi do wielbłąda, żeby ocenić jego kondycję. I wielbłąd — ten sam wielbłąd, który przez dwa tygodnie jadł z mojej ręki — pluje mu na szatę.

Sira i Dalia parsknęły. Efron i Elan — albo Elan i Efron, bo kto wie — turlali się po ziemi ze śmiechem.

— Inspektor jest wściekły. Patrzy na mnie. Mówi: to twój wielbłąd? Mówię: nie mój, karawany. On mówi: źle wytresowany. Ja mówię: proszę pana, ten wielbłąd przez dwa tygodnie chodził za mną jak pies. On mówi: to widać, po kim ma maniery. I odchodzi.

Boaz urwał dramatycznie.

— I wiesz co, Heber? Do dzisiaj nie wiem, czy to była obelga pod adresem mnie, czy wielbłąda. Bo obaj wyszliśmy z tego zdarzenia z pewnym poczuciem godności.

Śmiali się wszyscy. Nawet Mirta, choć krócej niż reszta.

— Tato — powiedział jeden z bliźniaków. Który, nie wiadomo. — A prawda, że w Egipcie były żaby wszędzie?

— Och, żaby. — Boaz machnął ręką jak na przyjemne wspomnienie. — Żaby były wszędzie. W misach z jedzeniem. W pościeli. Jeden Egipcjanin z sąsiedztwa wsunął rano stopę w sandał, a tam żaba. Krzyczał przez godzinę. Rozumiem go — nie żeby bał się żab, ale spróbujcie o świecie nadepnąć bosą piętą na coś zimnego, co na dodatek rechocze.

— Boaz — powiedział Heber. — To nie jest historia dla dzieci.

— To historia historyczna. Dzieci powinny znać historię.

— Historię żaby w sandale.

— A dlaczego nie? Każda historia zaczyna się od szczegółu. Wielkie cuda Jahwe zaczęły się od żab. Żaby doprowadziły do owadów, owady do zarazy, zaraza do tego, co wiecie. Więc ta żaba w sandale sąsiada to był, można powiedzieć, pierwszy krok do Exodusu.

Milczenie. Heber patrzył na niego przez chwilę.

— Tej logiki nie było w żadnym z opowiadań Mojżesza.

— Bo Mojżesz nie musi się martwić o szczegóły. Ja muszę.

Aszera chrząknęła i zebrała talerze, bo wiedziała, że to ten moment, w którym rozmowa może pójść w kierunku wymagającym wyjaśnień przed Przybytkiem.

— Dzieci spać — powiedziała.

— Jeszcze chwilę — powiedziała Sira.

— Spać.



Ale kiedy matka poszła po wodę, Mirta zasnęła na siedząco, wyprostowana, jak miała w zwyczaju, a bliźniacy kłócili się szeptem o to, czyj koc jest czyj — bo bliźniacy zawsze mają o co się kłócić — Heber i Boaz zostali przy gasnącym ogniu.

Sira nie spała. Leżała za namiotem i słuchała.

— Myślisz, że dożyjemy Kanaanu? — zapytał cicho Boaz. Innym głosem niż przez cały wieczór — nie wesołym, nie komicznym. Zwykłym głosem człowieka, który mówi to, co naprawdę myśli.

— Nie wiem — powiedział Heber.

— Ile mamy lat? Blisko pięćdziesiąt. Mojżesz mówi, że Jahwe obiecał ziemię, ale nie obiecał, że każdy z tych, co wyszli z Egiptu, ją zobaczy.

— Wiem.

— Dlatego mam dzieci. Żeby ktoś zobaczył.

Heber milczał przez chwilę.

— Pamiętasz Nil?

— Każdego dnia. Zwłaszcza gdy manna jest szczególnie sucha.

— Ja też pamiętam. Ale pamiętam też, co znaczyło być czyjąś własnością. Co znaczyło, że twoja praca, twoje życie i życie twoich dzieci należą do kogoś innego. — Heber patrzył w ogień. — Dlatego idę. Nawet jeśli nie dojdę.

Boaz siedział przez chwilę w ciszy. Potem powiedział:

— Ty zawsze robiłeś z rzeczy poważnych rzeczy proste. Ja z rzeczy prostych robię rzeczy śmieszne. Razem wychodzimy na całość.

— Dlatego pracowaliśmy razem przy karawanach przez tyle lat.

— I żaden z nas nie zginął. Co jest samo w sobie cudem większym niż żaby.

Heber roześmiał się cicho, żeby nie budzić śpiących.

Sira leżała za namiotem i patrzyła w gwiazdy. I zapamiętała to — nie słowa, bo słowa są za trudne do zapamiętania dla sześciolatki — ale ton głosu. Ten głos Boaza bez śmiechu. I odpowiedź ojca.

Zapamiętała to tak dobrze, że przez następne trzynaście lat, w bandzie Abirama, przy każdym ognisku, przy którym siedziała, ten głos wracał. Cicho. Pewnie. Jak coś, co nie zamierza zniknąć tylko dlatego, że minęło dużo czasu.



Ale zanim przyszedł sen, był jeszcze ten moment — najzwyczajniejszy z możliwych, i właśnie dlatego najważniejszy.

Wczołgały się obie pod jeden koc, choć każda miała własny, bo zawsze tak robiły i żadna nie pamiętała, kiedy się to zaczęło. Dalia była cieplejsza — zawsze była cieplejsza, jakby miała w sobie własne małe ognisko — i Sira wsunęła zmarzniete stopy pod jej łydki. Dalia pisnęła, ale się nie odsunęła.

— Masz stopy jak żaby z plagi — szepnęła. — Zimne i mokre.

— A ty chrapiesz jak wielbłąd wujka Boaza.

— Nieprawda.

— Prawda. *Chrrr-pff. Chrrr-pff.* — Sira naśladowała ją cicho, żeby nie obudzić rodziców, i Dalia zaczęła trząść się od tłumionego śmiechu. A śmiech jednej zawsze zarażał drugą, więc po chwili obie dusiły go w kocu, czerwone, z mokrymi oczami, bojąc się parsknąć na głos.

Kiedy się uspokoiły, Dalia odszukała w ciemności rękę siostry i spłotła z nią palce. Ich stary zwyczaj, którego nie trzeba było tłumaczyć.

— Wiesz, o czym czasem myślę? — powiedziała sennie. — Że jak będziemy duże, to zamieszkamy blisko siebie. Nie w jednym namiocie, bo będziesz miała męża i będziesz chrapać jeszcze głośniej. Ale blisko. Tak, żeby twoje dzieci mogły przybiec do mnie, kiedy się na ciebie pogniewają, a ja im dam miodu i powiem, że ich mama wcale nie jest taka straszna.

— Skąd wiesz, że będę miała dzieci — mruknęła Sira.

— Będziesz. I będę uparte jak ty. — Dalia ziewnęła. — A ja będę tą ciocią, do której się ucieka. Każdy potrzebuje takiej cioci. Ja będę wasza.

— Dobrze — powiedziała Sira. — To ty bądź tą ciocią. A ja zadbam, żeby nikt nigdy nie rozdzielił nas tak daleko, żebyś nie mogła przybiec. To moja robota. A ty co mi obiecasz?

Dalia milczała tak długo, że Sira myślała, że już śpi.

— Będę przy tobie — powiedziała w końcu. — Cokolwiek się stanie. Ty pilnujesz, żebyśmy byli blisko, ja jestem przy tobie. Tak się umawiamy.

Sira nie wiedziała, co się odpowiada na coś takiego, kiedy ma się sześć lat. Ścisnęła tylko mocniej rękę siostry. Wtedy to wystarczało — ścisk dłoni był całą umową, jakiej dwie siostry potrzebują. I obie wierzyły, z tą absolutną pewnością, jaką mają tylko dzieci, że umów się dotrzymuje.

Nie wiedziała jeszcze, że to ostatni raz. Że za kilka dni splecione palce ktoś rozerwie siłą, każdą w inną stronę. Ale tej nocy umowa stała, koc był ciepły, a siostra oddychała obok — i to było wszystko, czego trzeba.

Tej nocy Dalia zasnęła pierwsza, tak jak zawsze — Dalia zasypiała szybko i głęboko, bez kłopotów, bo Dalia miała dar spokojnego snu, którego Sira zawsze trochę jej zazdrościła. Sira leżała obok, patrzyła na siostrę i myślała o jutrzejszym dniu, o ojcu i o tym, co powiedział przy ognisku.

Przy tym ognisku — tym konkretnym, przy tym konkretnym namiocie, tej konkretnej nocy — Heber powiedział, że idzie, nawet jeśli nie dojdzie. I Sira, sześciolatka, która nie miała pojęcia, że zwykłych nocy zostało jej już tylko kilka, zapamiętała to, bo brzmiało jak coś ważnego.

Bo są słowa, które są ważne nie dlatego, że rozumie się je w chwili, gdy się je słyszy, ale dlatego, że brzmią tak, jakby kiedyś miały zostać zrozumiane. I te słowa zostają.

Koniec Rozdziału I

Dziecko kanałów



Egipt miał wiele twarzy. Jedną znali kapłani, urzędnicy i możni — twarz złota, alabastru i chłodnych sal, gdzie cień zasłon chronił przed gniewem słońca. Drugą znali żołnierze faraona: twarz dyscypliny, kamienia i brązu, prawo wyryte ostrzem włóczni na plecach buntowników. Ale była jeszcze trzecia. Ta, o której nie śpiewali skrybowie i której nie malowano na ścianach grobowców. Twarz kanałów, błota, much i cuchnącej wody. Twarz nędzy tak starej, że nawet bogowie musieli się od niej odwracać.

Tam właśnie dorastał Abiram.

Miał dziesięć lat i ciało wychudzone jak pies pustyni. Żebra odcinały mu się pod skórą, na lewym barku miał świeżą bliznę po nożu. Nie pamiętał już, kto go nią obdarzył — w tej części miasta o ranę było równie łatwo jak o kurz w ustach. Jednego dnia kamieniem, drugiego kijem, trzeciego przez cudzą zazdrość albo własny głód. Śmierć była tu tańsza niż mięso na targu i równie powszechna.

Matka umarła, kiedy miał cztery lata. Ojciec — jeśli w ogóle istniał jako konkretny człowiek, a nie jako anonimowy element nocy — nigdy nie był częścią jego historii. Przez sześć lat Abiram żył tak, jak żyją dzieci kanałów: z tego, co ukradł, co wywalczył, i z tego, co inni uznali za bezużyteczne i wyrzucili. Nauczył się spać z jednym okiem otwartym. Nauczył się odróżniać kroki człowieka, który szuka bójki, od kroków człowieka, który szuka ofiary — bo to nie to samo, a od tej różnicy zale-

ży życie. Nauczył się też czegoś, czego nie uczono w żadnych koszarach ani w żadnej szkole: jak spojrzeć na grupę ludzi i od razu wiedzieć, kto jest groźny, kto się boi, a kto zaraz ucieknie.

Ta ostatnia umiejętność uratowała mu życie więcej razy, niż mógłby policzyć.



Pierwsze, co zapamiętał — nie jako myśl, jako doznanie, tak jak zapamiętuje się gorączkę albo głód — to dźwięk kanału nocą. Ten głuchy, rytmiczny plusk wody o nadbrzeżne pale. Matkę widywał rzadziej, niż słyszał ten dźwięk, bo pracowała od świtu do zmroku u praczek Górnej Dzielnicy, a kiedy wracała, była zmęczona tym szczególnym zmęczeniem, które pozwala już tylko leżeć. Kochała go — Abiram wiedział to bez słów, bo miłość matki jest jedną z tych rzeczy, które dziecko czuje, nawet kiedy nie umie ich nazwać — ale miłość nie karmi, nie chroni i nie uczy, jak przeżyć wśród dzieci kanałów, które wiedzą, że słabość jest zaproszeniem.

Kiedy umarła — na gorączkę, na którą co roku umierała połowa dzielnicy, bo woda kanałów niosła w sobie niewidoczne rzeczy, zabijające przez skórę i przez usta — Abiram miał cztery lata i przez trzy dni siedział przy jej ciele, zanim sąsiadka powiedziała mu, że matka już nie wróci. Wyszedł wtedy na zewnątrz, usiadł nad kanałem i bardzo długo patrzył na wodę. Potem wstał i zaczął żyć tak, jak żyją dzieci kanałów bez rodziców: sam, zębami i paznokciami, ucząc się na własnych błędach i na cudzych, bo cudze są tańsze.

Banda, którą zebrał, liczyła ośmioro dzieci — od siedmiu do trzynastu lat, różnego pochodzenia, z jednym wspólnym mianownikiem: nikt ich nie chciał i nauczyl się z tym żyć.

Haruf był sprytny, ale w środku za miękki. Neb chodził wolno i myślał wolno, ale bił jak wół. Iset miała w sobie złość, która dawała jej trzy razy więcej siły, niż wskazywało ciało, ale złość bez cierpliwości to narzędzie,

które tnie właściciela. Reszta była tłem — użyteczna jako obecność, niebezpieczna jako ciężar.

Abiram zarządzał nimi kombinacją strachu i przewidywalności. Bał się Abirama, kiedy zawodziłeś. Mogłeś mu ufać, kiedy robił, co mówił. Równanie proste jak życie na kanałach.

Chłopak nie płakał. Menkara zauważył to u niego jako pierwsze i pamiętał jeszcze po wielu latach. Nie płakał, kiedy biły go starsze dzieci. Nie płakał, kiedy głodował. Nie płakał, kiedy widział martwych. Nie dlatego, że był nieczuły — po prostu bardzo wcześnie uznał, że płacz to informacja, którą dajesz przeciwnikowi, a przeciwnik zawsze obróci ją przeciwko tobie.



Stał boso na skraju kanału i patrzył na wodę, która nie była wodą, tylko gęstą ciemną mazią pełną śmieci, gnijących trzcin i padliny.

— Idą — mruknął Haruf z tyłu.

Abiram się nie odwrócił.

— Ilu.

— Dziesięciu. Może dwunastu. Z Sobaczej Ulicy. — Haruf splunął do kanału. — Wzięli pałki. I kilku ma noże.

Dopiero wtedy Abiram odwrócił głowę. To właśnie odróżniało go od reszty — nie był największy, nie był nawet najsilniejszy, ale kiedy inni czuli strach, on czuł jasność. Świat robił się wtedy prosty. Kto stoi. Kto się cofa. Kto krzyczy. Kto pierwszy pokaże słabość. Wszystko układało mu się w głowie szybciej, niż inni zdążyli zaczerpnąć tchu.

— Nie bijcie ich na środku placu — powiedział. — Cofniemy się między mury. Tam nie wejdą wszyscy naraz.

Walka była krótka i brudna. Po wszystkim na placu leżało sześć ciał — trzy z bandy Sobaczej Ulicy, trzy z jego. Abiram patrzył na to bez słowa. Śmierć nie robiła na nim wrażenia. Robiły wrażenie błędy. Podejście za szeroko. Krzyk za wcześnie. Kij za wysoko. Nóż w złym momencie. Wszystko można było policzyć.

I wtedy usłyszał klaskanie.

Powolne. Równe. Spokojne.

Na końcu uliczki stał mężczyzna. Wysoki, o skórze ciemnej od słońca i twarzy przeciętej dwiema starymi bliznami. Krótka broda, ogolona głowa, pancerz z brązowych łusek. Przy biodrze zakrzywiony miecz, na plecach łuk. Medżaj.

— Kto dowodził? — zapytał.

Nikt się nie odezwał. Abiram zrobił krok naprzód.

— Ja.

Medżaj zmierzył go spojrzeniem od stóp do głów.

— Ile masz lat.

— Dość, żeby zabijać.

— O to nie pytałem.

— Dziesięć — odpowiedział Abiram.

Mężczyzna podszedł bliżej. Spojrzał na ciało Tareka, najroślejszego chłopaka z Sobaczey Ulicy.

— Tego zabiłeś ty?

— Tak.

— Był większy.

— Był wolniejszy.

Medżaj parsknął krótkim śmiechem. — Jak masz na imię, chłopcze?

— Abiram.

— Ja jestem Menkara. — Rozejrzał się po zaułku, jakby mierzył go i ważył. Błoto. Kanał. Trupy. Dzieci z nożami zamiast zabawek. — Wiesz, co widzę? Większość z was zdechnie tu, zanim dorośnie. Z gorączki. Od ostrza. W błocie. Jak psy. — Jego wzrok zatrzymał się na Abiramie. — Ale nie ty.

— Co dostanę? — spytał chłopak.

Haruf wciągnął gwałtownie powietrze. Iset rozchyliła wargi ze zdziwienia. Dziecko z kanałów nie stawiało warunków żołnierzowi faraona.

Menkara jednak nie wybuchł gniewem.

— Jedzenie. Dach. Broń w ręce. I naukę, na którą tu nigdy nie będzie cię stać.

— A oni? — Abiram skinął głową w stronę bandy.

— Oni są stadem. Ty jesteś kłem.

Abiram spojrzał po swoich. Haruf — sprytny, ale za miękki. Neb — za wolny. Iset — złość bez cierpliwości. Wszyscy użyteczni tylko tu, na placu śmierdzącym kanałem. Dalej ciągnęliby go w dół jak kamienie uwiązane do nóg.

— Dobrze — powiedział.

Kiedy Menkara zniknął za rogiem, Haruf wydusił:

— Pójdiesz z nim?

— Tak.

— A co z nami?

Abiram spojrzał na niego chłodno. — Przeżyjecie albo nie.

Spojrzał na plac jeszcze raz. Na ciała. Na krew wsiąkającą w pył. Na muchy, które już siadały na rozbitych twarzach. Potem odwrócił się i odszedł.



Koszary Medżajów stały na skraju miasta, tam, gdzie kończyły się kamienne dzielnice, a zaczynała pustynia. Abiram wszedł do nich z jedną szatą na plecach i niczym więcej — bo nic więcej nie miał i nie zamierzał udawać, że jest inaczej.

Pierwsze tygodnie były najtrudniejsze. Nie dlatego, że było ciężko fizycznie — na kanałach zawsze było ciężko — ale dlatego, że wszystko podlegało zasadom. Wstawanie o tej godzinie. Ćwiczenia w tej kolejności. Posłuszeństwo wobec tego konkretnego człowieka w tej hierarchii. Abiram nie lubił zasad. Ale rozumiał ich użyteczność i uczył się szybciej, niż ktokolwiek się spodziewał.

Był najmłodszy w oddziale o pięć lat. Inni rekruci mieli piętnaście, szesnaście, niektórzy osiemnaście. Patrzyli na niego jak na anomalie — dziecko z kanałów, które Menkara przyprowadził z jakiegoś kaprysu.

Dwóch postanowiło to sprawdzić na pięści, pierwszej i drugiej nocy. Obaj pożałowali — nie dlatego, że Abiram był silniejszy, bo nie był, ale dlatego, że walczył bez żadnych reguł, jak ktoś, kto przez dziesięć lat walczył o przeżycie.

Po tygodniu nikt nie próbował drugi raz.

Menkara ćwiczył z nim osobiście. Walka mieczem i włócznią, łucznicstwo, rzut nożem, poruszanie się w nocy, czytanie terenu, prowadzenie małego oddziału przez nieprzyjazny teren. Uczył bez zbędnych słów: pokazywał, kazał powtórzyć, poprawiał uderzeniem, kiedy było źle. Abiram nie protestował — rozumiał uderzenia jako informację, a informacja jest zawsze użyteczna bez względu na sposób dostarczenia.

Koszary miały też własną hierarchię poza formalną — tę nieformalną, niepisaną, złożoną z tysięcy drobnych sygnałów, które decydowały, kto jest naprawdę szanowany, a kto tylko tolerowany. Abiram studiował ją z taką samą uwagą jak technikę miecza. Kto pierwszy odzywał się przy posiłku i do kogo. Kto zajmował które miejsce przy ognisku. Kto chodził z kim na wartę z własnego wyboru, a kto dlatego, że nie miał innego. Te wzorce mówiły więcej o strukturze władzy niż jakikolwiek formalny rozkaz.

Z czasem zrozumiał, co jest w koszarach walutą. Nie siła — siłę miał każdy, kto przeżył selekcję. Nie lojalność — to było oczekiwane minimum. Walutą było zaufanie w konkretnej sytuacji: przekonanie, że kiedy jest najgorzej, człowiek obok zrobi to, co zapowiedział. Abiram zaczął budować to zaufanie świadomie. Nie przez słowa — przez konsekwencję. Rok po roku, misja po misji, małymi gestami, które się sumowały.

Po roku był lepszy niż połowa Medżajów w oddziale. Po dwóch — lepszy niż trzy czwarte. Menkara patrzył na to z miną człowieka, który coś zasadził i patrzy, jak rośnie szybciej, niż planował — z mieszaniną satysfakcji i niepokoju, którego nie umiał do końca nazwać.



Stało się w czwartym roku, na placu ćwiczeń, w obecności całego oddziału.

Sparing z drewnem. Przeciwnik nazywał się Sennefer — starszy o trzy lata, szybki, jeden z niewielu, którzy potrafili jeszcze sprawić Abiramowi kłopot. Walczyli już dłużej, niż powinni, i Sennefer trafił go w żebra — czysto, twardo — i roześmiał się — nie złośliwie, po prostu z radości dobrego uderzenia, tak jak śmieją się żołnierze.

Coś w Abirامية pękło. Nie głośno. Bez krzyku. Po prostu zniknęła jasność, która zawsze oddzielała go od czynu — i został sam czyn.

Drewno przestało być drewnem. Pierwsze uderzenie złamało Senneferowi rękę w przedramieniu. Drugie poszło w głowę i Sennefer już nie parował, bo nie mógł, i trzeciego Abiram nie zatrzymał — uniósł kij, żeby roztrzaskać leżącemu czaszkę, i twarz miał spokojną, i to było najgorsze ze wszystkiego, ten spokój.

Cios nie spadł.

Menkara złapał kij w locie jedną ręką, a drugą — otwartą dłonią, na odlew, z całej siły — uderzył Abirama w twarz. Raz. Głowa Abirama odskoczyła w bok. Na placu zapadła cisza, w której słyszać było tylko dyszenie Sennefera leżącego w pyłe.

— Spójrz na siebie — powiedział Menkara. Nie krzyczał. Mówił tak, żeby usłyszeli wszyscy, a to jest gorsze niż krzyk. — Prawie zabiłeś własnego. Nie wroga. Własnego. Na ćwiczeniach. Bo cię zabolalo i bo się roześmiał.

Abiram stał. Policzek piekł. Ale piekło coś jeszcze, głębiej, w miejscu, którego nie umiał nazwać.

— Wojownik, który nie panuje nad sobą, nie jest wojownikiem — ciągnął Menkara, wciąż do wszystkich, wciąż spokojnie. — Jest psem. A psa, który gryzie własne stado, się zabija. Zapamiętaj to. I niech zapamiętają wszyscy.

Puścił kij. Odwrócił się. Odszedł.

Abiram nie ruszył się przez długą chwilę. Wokół wracał gwar, ktoś podnosił Sennefera, ktoś coś mówił — ale to wszystko było daleko, za szybą. Abiram liczył. Tak jak zawsze, kiedy bolało. Ilu widziało. Gdzie stali. Kto się odwrócił, żeby nie patrzeć na jego twarz, a kto patrzył wprost.

Zapamiętał każdego.

I zapamiętał, że Menkara miał rację — to było najgorsze. Bo gdyby nie miał racji, można by to nazwać niesprawiedliwością i odłożyć. Ale Menkara miał rację, a sprawiedliwe upokorzenie jest cięższe od krzywdy, bo nie ma w nim niczego, co można by komuś odebrać. Zostaje tylko twarz, która piekła na oczach wszystkich, i pamięć tych, którzy patrzyli.

Abiram nie zapominał takich rzeczy. Nigdy. To nie była decyzja — to była jego budowa, jak kość, jak ścięgno. Rachunek raz otwarty zostawał otwarty aż do wyrównania.

Tamtego wieczoru nie powiedział nic. Ćwiczył dalej. Uczył się dalej. Brał od Menkary wszystko, czego ten mógł go nauczyć — z tą samą uwagą co zawsze, może większą. Bo postanowił już wtedy, choć słowami ująłby to dopiero lata później: weźmie od tego człowieka wszystko, do ostatniej umiejętności. A kiedy nie będzie już czego brać — wyrówna rachunek.



— Masz problem — powiedział Menkara pewnego wieczoru przy małym ognisku, w piątym roku służby. — Nie z walką. Z ludźmi.

Abiram czekał. Wiedział już, że Menkara mówi dalej bez zachęty.

— Patrzysz na nich jak na przeszkody albo narzędzia. Nigdy jak na sojuszników.

— Bo są albo jednym, albo drugim.

— Nie. — Menkara odłożył kawałek chleba. — Sojusznik stoi po twojej stronie z własnego wyboru. Siłą możesz mieć posłusznych — ale posłuszni uciekają, kiedy robi się naprawdę źle. Sojusznicy zostają.

Abiram nie odpowiedział. Ale zapamiętał — bo Menkara miał rację, choć Abiram nie zamierzał mu tego mówić.

Myślał o tym przez kilka tygodni. O różnicy między posłusznym a sojusznikiem. O tym, że na kanałach nie było sojuszników — była tylko chwilowa zbieżność interesów, której nie należało mylić z niczym trwałym. I że może Menkara opisywał coś, co istnieje poza kanałami, coś, czego Abiram nigdy nie widział i dlatego traktował jak czczy wymysł.

Nie zmienił sposobu patrzenia na ludzi. Ale dodał do rachunku nową kolumnę.



Ósmego roku Menkara zabrał go na misję na południe. Trzydziestu Medżajów, cztery tygodnie, kraj coraz bardziej wrogi, w miarę jak oddalali się od Nilu w stronę wzgórz, gdzie nomadzi mieli własne prawa i własne rozumienie granic.

Walczyli trzy razy. Dwa razy krótko — potyczki przy przeprawach, szybkie i czyste. Raz poważnie — z nomadami nubijskimi, przez dwie godziny, w wąwozie, gdzie słońce biło z góry, nie było się gdzie schować, a każdy oddech kosztował podwójnie. Kiedy było po wszystkim, Abiram siedział na ziemi, nie mogąc podnieść ramion, i po raz pierwszy od lat czuł coś, co nie było ani strachem, ani bólem, lecz ich połączeniem — coś głębszego, bardziej pierwotnego: tę szczególną słabość, która przychodzi, gdy ciało oddało wszystko, co miało, i nie ma już nic do dodania.

Siedmiu z trzydziestu nie wróciło.

Abiram siedział przy ich ciałach wieczorem i po raz pierwszy od dzieciństwa — od płakania przy ciele matki — poczuł coś w gardle. Nie płakał. Ale coś tam było. Zapamiętał to uczucie jako informację o sobie: że granice mają nawet rzeczy, których postanowiłeś nie czuć.

Menkara usiadł obok bez słowa. Siedzieli przez chwilę w ciszy, którą każdy z nich rozumiał inaczej, ale która obu wydawała się właściwa.

— Przeżyłeś, bo walczyłeś za wszystkich, nie za siebie — powiedział w końcu kapitan. — Nie dlatego, że lubisz tych ludzi. Dlatego, że rozumiałeś, że razem mają szansę, a osobno żadnej.

— To nie lojalność. To rachunek.

— Tak. Ale właśnie dlatego jest trwalszy niż uczucia. Rachunki nie zmieniają się zależnie od nastroju.

Kiedy kapitan wstał i poszedł sprawdzić rannych, Abiram jeszcze długo patrzył za nim. I po raz pierwszy od ośmiu lat pomyślał, że ten człowiek może wiedzieć coś, czego on sam jeszcze nie wie. Nieprzyjemna myśl. Ale uczciwa.

W drodze powrotnej — przez cztery dni przez pustynię, z rannymi na noszach, ze stratami, które wszyscy czuli i o których nikt nie mówił — Abiram myślał o tym zdaniu. O rachunku jako fundamencie. O tym, że Menkara walczył tak samo jak on — z zimną kalkulacją, bez zbędnych emocji — ale że gdzieś w tym rachunku miał kolumnę, której Abiram jeszcze wyraźnie nie widział. Kolumnę, która nie nazywała się ani lojalnością, ani uczuciem, ale sprawiała, że Menkara patrzył na swoich ludzi inaczej, niż Abiram patrzył na swoich.

Abiram nie wiedział, jak tę kolumnę nazwać. Ale wiedział, że istnieje. I że on jej nie ma.



Wrócili, kiedy Nil wylewał. Tamtego wieczoru Abiram siedział przy ognisku sam — lubił samotność, kiedy miał coś do przemyślenia, a teraz miał tego za dużo — i ważył pytanie: czy zostanie do końca życia żołnierzem cudzej armii, czy pójdzie tam, gdzie może być czymś więcej niż narzędziem w cudzej ręce.

Odpowiedź była łatwa. Była łatwa od początku. Cekał tylko na właściwy moment — bo Menkara nauczył go, że właściwy moment ma znaczenie, że różnica między dobrą decyzją we właściwym czasie a dobrą decyzją w złym czasie jest różnicą między zwycięstwem a niepotrzebnym ryzykiem.

Czekał osiem lat. Nie dlatego, że się bał — Menkary się nie bał. Bał się tylko jednego: że umrze, zanim nauczy się wszystkiego. A teraz nauczył się wszystkiego. Nie było już ani jednej rzeczy, którą Menkara umiał, a Abiram nie. Rachunek był gotowy do zamknięcia.

Wszedł do namiotu kapitana po zmroku, kiedy obóz już spał i warty stały daleko, twarzą do pustyni, a nie do swoich.

Menkara siedział przy lampie z tabliczką na kolanach — pisał raport, tak jak pisał raporty każdego wieczoru po misji, precyzyjnie, bo wierzył, że rzetelny zapis jest podstawą dobrego dowodzenia. Podniósł głowę. Spojrzał na Abirama. Potem na miecz w jego dłoni.

W jego oczach nie było strachu. Była rezygnacja — rezygnacja człowieka, który od dawna wiedział, że to nastąpi, i nie wiedział tylko, kiedy.

— Wiedziałem — powiedział. Odłożył tabliczkę. Wstał powoli, bez pośpiechu, i sięgnął po własny miecz oparty o słup namiotu. — Od tamtego dnia na placu. Uderzyłem cię, zobaczyłem twoją twarz i wiedziałem, że przyjdiesz. Pytanie było tylko kiedy.

— Nauczyłeś mnie wszystkiego — powiedział Abiram. — Już nie mam się czego od ciebie uczyć.

— Więc przyszedłeś po ostatnią lekcję. — Menkara stanął w gardzie. Czysto. Klasycznie. Stopy ustawione tak, jak uczył, ciężar równo, ostrze w linii. Tak walczył Medżaj. Tak walczył człowiek honoru — z odsłoniętą twarzą, dając przeciwnikowi szansę, bo walka bez szansy nie jest walką, tylko rzezią. — Wyciągnij broń jak należy, chłopcze. Choć raz w życiu zrób coś jak należy.

Abiram wyciągnął miecz.



Pierwsze starcie było próbą. Dwa ostrza spotkały się i rozeszły, raz, drugi, trzeci — krótkie, twarde dzwonienia brązu w ciasnocie namiotu. Menkara był stary, ale rękę miał pewną i wiedział o walce wszystko, co można wiedzieć po trzydziestu latach w służbie faraona. Pchnięcie, zasłona, riposta — każdy ruch czysty, oszczędny, ani o włos za szeroki.

Abiram parował i ustępował, czytał. Tak jak czytał zawsze. Gdzie kapitan przenosi ciężar. Którą nogą rusza pierwszą. Że prawe ramię jest odrobinę wolniejsze niż osiem lat temu — bo czas bierze nawet najlepszych, i to też była informacja, i informacja jest zawsze użyteczna.

Menkara nacierał i Abiram ustępował, i przez krótką chwilę wyglądało to jak lekcja sprzed lat — mistrz prze, uczeń się cofa. Ostrze kapitana rozcięło Abiramowi ramię, płytko, czysto, pierwsza krew. Menkara mógł teraz cofnąć się i czekać, bo tak nakazywał honor: zadałeś ranę, dałeś przeciwnikowi chwilę.

I to była jego pomyłka. Jedyna. Wystarczająca.

Bo Abiram nie liczył na siłę ani na szybkość — Menkara miał ich tyle samo, może więcej. Liczył na to, czego Menkara nie miał: na gotowość do zrobienia rzeczy, której wojownik honoru nie robi.

Zachwiał się. Specjalnie. Opuścił ostrze, zgiął się, jakby rana była głębsza, niż była, i wypuścił z ust dźwięk bólu — fałszywy, wyćwiczony, doskonały. Menkara zawahał się przez ułamek oddechu. Tylko tyle. Bo był człowiekiem, który nie dobija ślaniającego się przeciwnika, i ten odruch litości tkwił w nim głębiej niż wszystkie lata wojny.

Abiram cisnął mu w oczy garść piasku, którą trzymał w lewej dłoni od chwili, gdy wszedł do namiotu.

Menkara odruchowo uniósł rękę z mieczem do twarzy — i w tej jednej odsłoniętej chwili Abiram wszedł pod gardę, nisko, brudno, tak jak walczył nad kanałem, gdy miał dziesięć lat. Ostrze weszło pod żebra. Do końca.

Menkara osunął się na kolana. Miecz wypadł mu z dłoni. Patrzył w górę, na Abirama, i w jego oczach nie było ani zaskoczenia, ani gniewu — tylko to samo zrozumienie co zawsze, ten sam spokój człowieka, który widzi rzeczy takimi, jakie są.

— Piasek — powiedział cicho. Prawie z podziwem. — Nie nauczyłem cię tego.

— Nie. Tego nauczył mnie kanał. — Abiram nie wyciągnął ostrza. Trzymał kapitana na nim jak na ościeniu. — Ty mnie nauczyłeś reszty. Ale tę ostatnią rzecz miałem już, zanim mnie znalazłeś.

— Jesteś potworem. — To nie było pytanie.

— Ty mnie nim zrobiłeś.

— Nie. — Krew szła kapitanowi z ust, ale głos był równy. — Kował, który wykuwa miecz, nie odpowiada za to, w co ten miecz uderzy. Znalazłem cię gotowego. Dałem ci tylko krawędź.

Abiram pchnął głębiej. Menkara nie krzyknął — przez całe życie nie krzyczał na ból i nie zamierzał zaczynać teraz.

— Marnotrawstwo — powiedział na koniec. Ledwo słyszalnie. Nie o sobie — o nim, o Abirامية, o tym, co z niego wyrośnie teraz, kiedy nie będzie już nikogo, kto by patrzył.

To było ostatnie słowo.

Abiram stał nad ciałem dłużej, niż musiał. Piekło go ramię. Ale to nie ramię kazało mu stać. Czekał, aż coś poczuje — triumf, ulgę, cokolwiek — bo rachunek był wreszcie zamknięty, a policzek z placu po latach pomszczony. Nie poczuł nic. Tylko tę samą jasność co zawsze, pustkę po niej i świadomość, że człowiek, który jako jedyny widział w nim coś więcej niż narzędzie leży teraz u jego stóp z jego ostrzem w boku.

Wytarł miecz o własną szatę, nie o szatę zmarłego — to jedno mu zostało, ten jeden gest, sam nie wiedział dlaczego.

Zabrał swoje rzeczy i po raz ostatni opuścił obóz. Poszedł na wschód, tam, gdzie nie obowiązują reguły żadnej armii. Gdzie jedynym prawem jest to, które sam ustanowisz. Gdzie jedyną hierarchią jest ta, którą zbudujesz własną ręką.

Nie odwrócił się.

Za nim zostały kanały, koszary i człowiek, który go uczył — który miał rację we wszystkim i właśnie dlatego musiał umrzeć. Bo narzędzie, które zbyt dobrze rozumie swojego kowala, przestaje być narzędziem. Staje się czymś innym. Czymś nieprzewidywalnym. A rzeczy nieprzewidywalne są niebezpieczne nawet dla tych, którzy je stworzyli.

Koniec Retrospekcji I

Ostrzeżenie



Ojciec Siry pakował towary na wielbłąda, kiedy obóz Izraela tonął jeszcze w tej suchej, przedświtowej mgle z pyłu, która rozmywa kontury namiotów i sprawia, że wszystko wygląda jak ze snu — niewyraźne i ciężkie.

Worki z suszonym mięsem, skóry wyprawione i złożone, kilka dzbanów oliwy, szczelnie zatkaných i owiniętych szmatami, żeby nie stłukły się na kamienistej drodze. I najcenniejsze: cztery małe skrzynie z barwnikami i tkaninami — purpura z morskich ślimaków, cynober, indygo — które zamierzał sprzedać kupcom w miastach Kanaanu, gdzie takie rzeczy warte były tyle, ile ważyły w srebrze. Handlował tym od lat. Wiedział, co gdzie wieźć, komu sprzedać i za ile, a za sobą miał dość pustynnych dróg, by wiedzieć również, że każda karawana to targowanie się z losem, a wynik zależy od wielu rzeczy, z których połowa pozostaje poza zasięgiem człowieka.

Sira obserwowała pakowanie z miną inspektora oceniającego jakość pracy.

- Tato, weź mnie ze sobą.
- Jeszcze nie, wojowniku.
- Ja już umiem walczyć.
- Na patyki.
- Na patyki też się zaczyna.

Ojciec roześmiał się i pogłaskał ją po głowie z tą swobodą, jaką ma się przy córce, która jeszcze nie zrozumiała, że pogłaskanie po głowie wcale nie oznacza przyznania jej racji.

— Pilnuj matki i siostry.

— A kto będzie pilnował ciebie?

— Mam doświadczenie.

— Masz też blizny na ramieniu, na nodze i na brodzie.

— Właśnie. Doświadczenie.

Żegnał się już z żoną — cicho, krótko, tak jak żegnają się ludzie, którzy zrobili to wiele razy i wiedzą, że długie pożegnania nie skracają drogi — kiedy między namiotami pojawiła się Dalia. Biegła szybciej niż zwykle — ona, która na co dzień poruszała się tak, jakby czas nie miał większego znaczenia. Rzuciła się ojcu w ramiona i przez chwilę stała tak, mocno, z twarzą wciśniętą w jego szatę.

Potem podniosła głowę.

— Muszę ci coś powiedzieć. Ale nie śmieję się.

— Nigdy nie śmieję się z tego, co mówi moja córka — powiedział ojciec i była to prawda, przynajmniej w poważnych sprawach, bo z historii o daktylach i niestrawności bliźniaków zdarzało mu się już śmiać.

— Uważaj na dwóch ludzi. Jednego dużego, łysego, z blizną na twarzy. Drugi jest gruby i kuśtyka. Widziałam ich w nocy.

— Śniłaś?

— Nie śnię — powiedziała Dalia. — Widzę.

Różnica była dla niej oczywista, choć ojciec nie byłby w stanie jej opisać słowami. Wiedział tylko tyle, że kiedy Dalia mówiła *śniłam*, to był sen. Kiedy mówiła *widziałam* — to było coś innego. I że przez ostatnie cztery lata ta różnica nigdy go nie zawiodła.

— Chcieli ci napaść. Ukraść towary. Czekali przy ostatnim wozie, po lewej stronie, w cieniu płótna.

Ojciec milczał przez chwilę. W oczach córki nie było dziecięcej wyobraźni. Było skupienie i ta dziwna cisza, którą miała w sobie zawsze, gdy mówiła o ważnych rzeczach.

— Obiecuj, że będziesz uważał — powiedziała.

— Obiecuję.

— I że będziesz czekał na nich, nie oni na ciebie.

— Będę.

Dalia kiwnęła głową, jakby to załatwiło sprawę. Objęła go jeszcze raz, mocno, i puściła. Ojciec wsiadł na wielbłąda. Karawana ruszyła. Sira patrzyła za nią, aż zniknęła za wzgórzem.

— Widziałas naprawdę? — zapytała siostrę.

— Tak.

— I nic mu się nie stanie?

Dalia przez chwilę milczała.

— Nie wiem — powiedziała w końcu. — Widzę, co będzie. Nie zawsze widzę, jak się skończy.

To była uczciwa odpowiedź. Ale nie była to odpowiedź, przy której Sira spała tej nocy spokojnie.



Karawana szła trzy dni. Pustynia była sucha i gorąca, droga kamienista, wielbłądy spokojne jak zawsze — zwierzęta, które przez tysiące lat opanowały sztukę narzekania w milczeniu, co czyni je idealnymi towarzyszami podróży. Ojciec Siry jechał blisko ostatniego wozu i obserwował.

Drugiego dnia strażnicy karawany zaczęli objeżdżać kupców. Sprawdzali towary, pytali o wartość ładunku, wyliczali opłaty za ochronę z miną urzędników obliczających podatek — czyli spokojnie i bez emocji, bo emocje przy takich sprawach nie pomagają żadnej ze stron. Dwóch podjechało do ojca Siry.

Pierwszy był łyśy. Na twarzy biegła mu długa blizna od lewego ucha do brody, jasna, stara, zostawiona przez kogoś, kto wiedział, gdzie ciąć. Drugi był gruby i chodził z lekkim utykaniem na lewą nogę.

Ojciec poczuł zimno wzdłuż kręgosłupa — to szczególne, skupione zimno, które pojawia się nie ze strachu, ale z rozpoznania sytuacji.

Strażnicy oglądali skrzynie powoli. Podnosili wieka, komentowali. Ich dłonie dotykały tkanin i barwników z tą szczególną troską, jaką okazuje się rzeczom, które wkrótce ma się posiąść. Ich spojrzenia mówiły wszystko. Chciwość. I coś jeszcze. Plan.

Ojciec Siry skinął głową uprzejmie i nic nie powiedział. Kiedy odjechali, siedział przez chwilę nieruchomo i liczył w głowie. Dwóch strażników, którzy nie wyglądają na strażników. Trzy doby drogi jeszcze. Noce krótkie, ale ciemne. Karawana rozłożona na postój luźno, bo nikt się niczego nie spodziewał.

Tej nocy nie będzie spał.



W namiocie przygotował się starannie. Na posłaniu ułożył ubrania, koce, worek wypchany czymś miękkim — z odległości kroku, w ciemności, wyglądało to jak śpiący człowiek. Sam usiadł w rogu przy ścianie namiotu, plecy do płótna, miecz na kolanach, nóż przy pasie. Czekał.

Godzinę. Dwie. Obóz ucichł stopniowo — najpierw rozmowy, potem szmery, potem tylko oddech wielbłądów i odległy głos nocnego strażnika obchodzącego obrzeża obozu. Noc na pustyni ma swój własny rytm ciszy, który człowiek z doświadczeniem zna i potrafi odróżnić od tej innej ciszy — tej, w której coś się porusza, tylko bardzo ostrożnie.

Usłyszał ich na długo, zanim weszli.

Dwa zestawy kroków. Jeden cięższy, równy. Drugi lekko asymetryczny — lewa noga łąduje inaczej niż prawa. Zatrzymali się przy wejściu do namiotu. Szept, którego nie dało się zrozumieć — można było się tylko domyślić jego sensu. Potem płótno namiotu poruszyło się i dwie sylwetki weszły do środka.

Łysy i kulawy.

Działali szybko i cicho — to nie był pierwszy raz, to było widać. Łysy uniósł miecz i opuszczył go na posłanie. Raz. Drugi. Trzeci. Ostrze rozcinało koce i ubrania z tym charakterystycznym dźwiękiem, który jest inny

niż dźwięk cięcia człowieka, ale w ciemności trudno to odróżnić na czas. Gruby stał z boku i obserwował.

Ojciec Siry wstał.

Łysy odwrócił się za późno. Pierwszy cios trafił go w gardło — nie ostrzem, rękojęścią, bo krzyk w obozie był ostatnią rzeczą, jakiej ojciec Siry potrzebował. Mężczyzna padł bez dźwięku, dławiąc się. Gruby zawył z wściekłości i rzucił się z nożem. Byli blisko siebie — za blisko na miecz, dobra odległość na nóż — i walczyli w ciemności, ciała splątane, ręce szukające broni przeciwnika, obaj bez głosu, bo hałas żadnemu z nich by nie pomógł.

Kulawy był silny mimo tuszy. Złapał ojca Siry za nadgarstek i próbował skierować nóż w górę. Siłowanie się trwało chwilę — potem ojciec Siry uderzył go głową w twarz, kość nosa pękła z charakterystycznym trzaskiem, i w tym momencie gruby na mgnienie oka poluzował uchwyt. Wystarczyło. Ojciec wyciągnął swój nóż i skończył sprawę.

Stał przez chwilę nieruchomo i słuchał. Obóz spał dalej. Wielbłądy nie zareagowały. Dobrze.

Wytarł nóż i myślał tylko o jednym.

O tym, co powiedziała Dalia przy pożegnaniu.



Karawana wróciła do obozu Izraela kilka dni później, późnym popołudniem. Sira zobaczyła wielbłądy na horyzoncie jako pierwsza — bo co godzinę wychodziła na skraj obozu i patrzyła, co matka uznała za uroczę przez pierwsze pół dnia, a przez kolejne dwa za wyczerpujące.

Pobiegła przez obóz jak strzała i wpadła na ojca, zanim zdążył zejść z wielbłąda.

— Żyjesz!

— Żyję — potwierdził spokojnie.

— Byłam pewna, że żyjesz. Prawie pewna.

Ojciec zeskoczył i złapał ją w ramiona.

— A więc mój wojownik pilnował domu?

— Pilnowałam! I matki! I Dalii! I psa też pilnowałam, ale pies jest bezużyteczny, uciekał pod namiot przy każdym głośniejszym dźwięku.

— Psy tak mają.

— Ale nie wojownicy.

Dalia podeszła spokojniej. Objęła ojca bez słowa i trwała tak przez chwilę dłużej niż zwykle. Ojciec poklepał ją po plecach. Nie pytał. Wiedział, że ona wie.

Rozwiązał sakwy. Sira dostała mały nóż z rzeźbioną rękojeścią — prawdziwy, nie drewniany, z krótkim ostrzem z brązu i pochewką ze skóry. Przytrzymała go obiema rękami i długo mu się przyglądała, jakby potrzebowała czasu, żeby uwierzyć.

— Prawdziwy — powiedziała.

— Prawdziwy. Bo mój wojownik zasługuje na prawdziwe narzędzia.

Dalia dostała wisiorek z niebieskiego kamienia — płaski, gładki, na rzemyku. Matka — tkaninę z purpurową nicią, cienką i miękką — taką, jakiej od dawna nie widziała. Jahwe pobłogosławił drogę, powiedział ojciec, i nie powiedział nic więcej przy dzieciach.

Ale tej nocy, kiedy Sira i Dalia spały, siedział przy małym ognisku z żoną i mówił cicho. O łysym i kulawym. O posłaniu uformowanym z ubrań. O tym, jak to się skończyło. Żona słuchała bez słowa.

— Dalia mi mówiła — powiedziała w końcu. — Rano, przed twoim wyjazdem. Że widziała coś złego w nocy.

— Wiem — powiedział ojciec.

— I zrobiłeś tak, jak powiedziała?

— Tak.

Żona patrzyła w ogień przez chwilę.

— Ona jest inna — powiedziała cicho. — Wiesz o tym.

— Wiem.

— I boisz się tego?

Ojciec zastanowił się uczciwie.

— Boję się tego, co to może dla niej znaczyć. Nie tego, czym to jest.



Nazajutrz był dzień Paschy.

Święto obchodzone co roku na pustyni — od tej pierwszej nocy w Egipcie, kiedy krew baranka na drzwiach była znakiem i śmierć przeszła obok. Każdego roku baranki, praśny chleb, gorzkie zioła, śpiew. Obóz zmieniał się w coś innego niż zwykle — stawał się wspomnieniem, rytuałem, mostem między pokoleniem, które wyszło z Egiptu, a tymi, którzy Egiptu nigdy nie widzieli.

Kobiety krzątały się od świtu. Zapachy mięsa, ziół i palonego drewna mieszały się ze sobą i przez krótki czas obóz na pustyni pachniał jak coś, co chciałoby się zapamiętać.

Matka zabrała Dalię na uroczystości przy Przybytku. Sira została z ojcem.

— Dlaczego ja nie idę?

— Bo za tydzień idziesz z matką na następne spotkanie przy Przybytku. Dzisiaj uczysz się czegoś innego.

— Czego?

— Cierpliwości.

Sira zmrużyła oczy. Brzmiało to jak jeden z żartów ojca, ale jego twarz mówiła, że tym razem nie żartuje. Wzięła nóż i przez godzinę w milczeniu ćwiczyła chwyt, z tym skupieniem, które przychodziło jej naturalnie przy wszystkim, co miało ostry koniec.

Po południu ojciec poszedł pomóc sąsiadom przy baranku paschalnym, a Sira wymknęła się z nożem na skraj obozu, tam, gdzie kończyły się namioty, a zaczynały wydmy. Chciała ćwiczyć tam, gdzie nikt nie patrzy.

I wtedy je zobaczyła.

Ślady. Odciski stóp w piasku za ostatnim rzędem namiotów — nie bosa i nie w miękkich sandałach, jakie nosiło się w obozie, tylko w twarzych, o grubej podeszwie z wyraźnym rantem. Sześć par. Obok tropy trzech wielbłądów, głębokie, jakby zwierzęta niosły ciężar. Szły wzdłuż obozu, nie do niego — łukiem, po zewnętrznej stronie wydm, tak żeby

nikt z namiotów ich nie dostrzegł. W jednym miejscu się zatrzymały. Piasek był tam zdeptany, jakby ktoś długo stał i patrzył. Potem ślady skręcały na południe i ginęły między skałami.

Sira przykucnęła i przyłożyła dłoń do jednego odcisku. Był dłuższy niż jej cała stopa. Brzegi jeszcze się nie osypały — ktoś przeszedł tędy niedawno, może tej nocy.

Kto przychodzi w odwiedziny, idzie prosto do namiotów. Tak mówił ojciec. Ci nie przyszli w odwiedziny. Ci liczyli.

Chciała od razu biec do ojca, ale ojciec wrócił dopiero o zmroku, a potem była wieczerza paschalna — baranek, praśny chleb, gorzkie zioła i modlitwy, których się nie przerywa. Słowa musiały poczekać.



Przy Przybytku zebrały się tysiące. Kapłani przy ołtarzu w białych szatach. Lewici śpiewali psalmy — głęboko, wielogłosowo, tak jak śpiewają ci, którzy mają za sobą wiele lat praktyki i wiele powodów, żeby śpiewać. Mojesz stał na podwyższeniu.

Był stary — naprawdę stary, twarz jak wyrzeźbiona przez pustynię przez ponad sto lat, broda do piersi, siwa jak popiół. Ale kiedy mówił, głos niósł się bez wysiłku, bo tego właśnie uczysz się przez ponad sto lat mówienia do dużych grup na otwartym powietrzu.

— Pamiętajcie noc, gdy Jahwe wyprowadził was z domu niewoli! Nie ręką człowieka, lecz swoją mocą! Morze stało się suchą ziemią! Faraon z całą armią zniknął jak sen!

Tłum słuchał w milczeniu. Matka Dalii stała z córką w połowie tłumu i czuła to, co czuła zawsze przy takich uroczystościach — że naród razem jest silniejszy niż osobno — co oczywiste, ale wymaga przypominania.

Dalia patrzyła na Mojusza.

I Mojusz zamilkł w połowie zdania.

Jego wzrok przeszedł przez tłum i zatrzymał się na małej dziewczynce stojącej przy matce, z twarzą spokojną jak woda w studni. Kapłani wymieniali spojrzenia. Tłum poruszył się niespokojnie — kiedy Mojusz

milknie w połowie zdania, to znak albo bardzo zły, albo bardzo dobry, i nie wiadomo który, dopóki nie minie chwila.

Matka Dalii poczuła niepokój.

— Chodź — powiedziała i zaczęły się wycofywać.

Kapłani znaleźli je jeszcze przed wieczorem. Mojżesz chciał je widzieć.



Namiot Mojżesza był duży i prosty — żadnych ozdób, żadnych symboli władzy, tylko rzeczy potrzebne i trochę tych, które przez lata znalazły się tu bez szczególnego planu. Stare sandały pod ścianą. Tabliczki z pismem. Laska oparta o słup.

Mojżesz stał przy wejściu, kiedy przyszy. Patrzył na Dalię przez chwilę, potem na matkę, potem z powrotem na dziewczynkę.

— Czy wiesz, że twoja córka jest kimś wyjątkowym?

Matka zawahała się między kilkoma odpowiedziami i wybrała prawdziwą.

— Mięwa wizje. I kocha Jahwe w sposób, który mnie czasem niepokoi — bo jest za duży na jej wiek.

— Wiem — powiedział Mojżesz.

Poprosił matkę, żeby poczekała na zewnątrz. Dalia weszła i stanęła na środku namiotu spokojnie, bez fałszywej pokory i bez pozy.

Mojżesz powoli — a wszystko u niego było powolne, bo przez ponad sto lat nauczył się, że pośpiech jest nieuprzejmością wobec chwili — uklęknął przed nią. Stary prorok, do którego Bóg przemówił z płonącego krzewu, na kolanach przed dzieckiem — i żaden z nich nie widział w tym nic dziwnego, bo w obecności pewnych rzeczy hierarchie ludzkie są po prostu nieistotne.

— Czy słyszysz Go? — zapytał cicho.

— Tak.

— Zawsze?

— Nie zawsze. Ale kiedy mówi, nie da się tego pomylić z niczym innym.

Mojżesz kiwnął głową.

— Ja wiem. — Chwila milczenia. — Co ci mówi?

Dalia zastanowiła się.

— Różne rzeczy. Czasem imiona. Czasem miejsca. Czasem — dodała ciszej — pokazuje mi rzeczy, zanim się staną.

— I boisz się tego?

— Nie. — Chwila. — Ale czasem boję się tego, co widzę.

Mojżesz zamknął oczy i położył ręce na jej głowie. Dalia poczuła ciężar dłoni i coś jeszcze — jakby powietrze w namiocie zgęstniało przez chwilę, jakby ktoś niewidzialny był tu obecny i przyglądał się ze spokojem kogoś, kto nigdzie się nie spieszy, bo ma przed sobą cały czas świata.

To, co zobaczył Mojżesz, nie było radosne.

Dziewczynkę ranną i samotną. Targ z ludźmi wystawionymi jak bydło. Dom przy murze ogromnego miasta. Mury poruszające się jak we śnie — powoli, najpierw lekko, potem coraz gwałtowniej — i ją, stojącą w gruzach. Ale za tym wszystkim, za wszystkim, co bolesne, było coś innego. Coś jasnego, spokojnego i niezmiennego, jak ogień, który nie potrzebuje drewna.

Otworzył oczy.

— Pobłogosławiłem cię, dziecko.

Uśmiechnął się, a jego twarz przez chwilę wyglądała młodziej.

— Chociaż nie wiem, czy nie powinno być odwrotnie.

Dalia patrzyła na niego poważnie.

— Jahwe powiedział mi coś o tobie — powiedziała w końcu.

Mojżesz uniósł brwi.

— Co powiedział?

— Że bardzo cię kocha. I że jesteś zmęczony.

Stary prorok wpatrywał się w nią przez długą chwilę. W jego oczach pojawiło się coś, czego Dalia nie umiała nazwać — bo miała pięć lat i nie знаła jeszcze wszystkich rodzajów bólu, a to był jeden z tych głębszych,

który przychodzi, gdy ktoś mówi wprost to, co czujesz, a czego nigdy nikomu nie powiedziałeś.

— Tak — powiedział w końcu, cicho. — Jestem.

Dalia kiwnęła głową, jakby to był koniec rozmowy, który wszystko wyjaśniał. Bo może tak właśnie było.

Tej nocy Sira powiedziała ojcu o śladach. Heber siedział przy ognisku z rachunkami z karawany i słuchał poważnie — bo Heber zawsze słuchał poważnie, nawet kiedy mówiło dziecko. Dzieci widzą bez filtrów.

— Gdzie dokładnie? — zapytał.

Sira opisała ślady. Kierunek. Liczbę.

Heber milczał przez chwilę.

— Jutro rano powiem Kalebowi, żeby sprawdził — powiedział. — A teraz śpij.

Sira położyła się przy Dalii, która już spała z ręką pod policzkiem, oddychając w ten swój spokojny sposób. Leżała, patrzyła w dach namiotu i myślała o śladach i o ich kierunku.

Nie wiedziała — bo nie mogła wiedzieć — że do tego sprawdzania nie dojdzie. Że wkrótce przyjdzie noc, która przyniesie coś zupełnie innego.

Tej nocy zasnęła spokojnie. Przy ojcu, który słuchał. Przy siostrze, która spała. W namiocie, który był domem.

Jeden z ostatnich spokojnych snów na długo.

Koniec Rozdziału II

Droga w pustynię



Noc w Memfis pachniała Nilem, smołą i tym szczególnym zapachem wielkiego miasta, które nigdy do końca nie śpi — bo zawsze ktoś ma coś do zrobienia w ciemności, a zwykle nie jest to nic, co robi się za dnia.

Abiram przeszedł przez uśpiony obóz Medżajów pod murami miasta jak cień, przelazł przez wał z ubitej ziemi za spichlerzami wschodniej dzielnicy portowej i zsunął się po nim prosto w błoto nad kanałem. Wał był stromy i kruszył się pod stopami, ale wytrzymał — Abiram ważył sporo, lecz wiedział, jak rozłożyć ciężar. Nauka na przyszłość: woda i błoto zawsze są lepsze od pościgu na otwartym terenie.

Miał tyle czasu, ile trwa jedna zmiana warty, zanim znajdą ciało Menkary i zaczną szukać. Może mniej — Medżajowie mieli swój porządek nocnych obchodów, a Abiram sam go ustalał przez ostatnie dwa lata.

Ruszył na wschód.

Memfis nocą był labiryntem, który Abiram znał na pamięć — dzielnica rzemieślnicza z wąskimi uliczkami między warsztatami, gdzie dym z pieców garncarskich wisiał w powietrzu nawet po północy. Dzielnica obcych — hetycka, jak ją nazywano — gdzie mieszkali jeńcy wojenni i kupcy z północy o twarzach zbyt jasnych jak na Egipt. Dalej wewnętrzny port przy kanale łączącym się z Nilem, gdzie nocą cumowały barki z towarem i gdzie zawsze można było kupić miejsce na pokładzie bez zbędnych pytań, jeśli miało się złoto.

Abiram nie szedł do portu. Port był pierwszym miejscem, w którym szukaliby kogoś uciekającego z Memfis — bo Nil to jedyna droga, jaką zna ktoś, kto nie zna pustyni. A on znał pustynię.

Za wschodnimi murami miasta zaczynał się inny świat. Zupełnie inna. Gwar miasta zanikł jak świeca zgaszona wilgotnym palcem i zostało tylko to, co zostaje zawsze, kiedy miasto jest za plecami — cisza, gwiazdy i ziemia pod stopami, twardsza z każdym krokiem.

Droga wschodnia prowadziła ku Pustyni Wschodniej — rozległego kamiennego płaskowyżu między Nilem a Morzem Czerwonym, gdzie Egipt dawno przestawał być Egiptem, a zaczynała się przestrzeń rządzona innymi prawami. Nie prawa faraona. Prawa piaszczyste, kamienne, nieubłagane i uczciwe.

Biegł przez godzinę. Potem szedł szybko. Potem uznał, że odległość jest wystarczająca, i zwolnił do tempa, które można utrzymać przez wiele godzin bez odpoczynku.



Znaleźli go o świcie.

Trzech Medżajów na koniach — dobrzy jeźdźcy, dobrze wyposażeni, z tym skupionym spokojem myśliwych, którzy ścigają uciekającą zwierzyńę i wiedzą, że w końcu ją dopadną, bo koń jest szybszy od człowieka, a pustynia nie ma kryjówek. Jechali wzdłuż drogi wschodniej z pochodniami, które w porannym świetle były już zbędne, ale których nie zgasili, bo pościg ma swój rytym.

Abiram zobaczył ich pierwszy — bo od godziny bez przerwy oglądał się w stronę, z której przyszedł, tak jak się patrzy, kiedy wiesz, że ktoś jest za tobą, i nie wiesz tylko, kiedy się pojawi.

Ocecił sytuację w czasie krótszym niż oddech.

Otwarte pole — źle. Trzech na koniach — bardzo źle. On bez konia — fatalnie. Do najbliższej osady może godzina szybkiego marszu — nie zdąży. Skały po prawej — wawóz, może dwieście łokci — jest szansa.

Zrezygnował z chodzenia i pobiegł.

Nie prosto — pod kątem, ku skałom, co kilkadziesiąt kroków nieregularnie zmieniając kierunek, żeby konnemu łucznikowi trudniej było złożyć się do strzału. Medżaj z łukiem na koniu jest groźny na otwartym polu, gdy cel się nie rusza. Gdy cel skacze z boku na bok — dużo mniej.

Strzała przeszła może cztery łokcie z lewej. Dobry strzał jak na galopującego konia i ruchomy cel.

Abiram biegł.

Wąwóz był węższy, niż wyglądał z daleka — bo tak bywa z wąwozami: z daleka wyglądają jak schronienie, a z bliska jak pułapka. Ale kamienne ściany po obu stronach szybko rosły i w pewnej chwili jeźdźcy musieli zwolnić, bo koń w ciasnym skalnym przejściu to zupełnie inne zwierzę niż koń na otwartym polu.

Abiram zatrzymał się za skałą i odwrócił.

Wąwóz był długi na może sto łokci. Przy wejściu — dwóch jeźdźców, którzy zsiadali z koni, bo postanowili iść dalej pieszo. Trzeci został przy koniach.

Dwóch na jednego. Medżajowie. Jego dawna brać.

Wziął głęboki oddech i wyszedł zza skały.



Pierwszy był wysoki i pewny siebie tą pewnością, jaką ma ten, kto ściga, a nie jest ścigany — i to był jego pierwszy błąd. Kto goni, łatwo zapomina, że ofiara może się odwrócić. Trzymał krótki miecz do natarcia — rękojeść przy barku, ostrze naprzód, sylwetka lekko pochylona, szybkie kroki. Klasyczne natarcie Medżaja, wyćwiczone na Nubijczykach i Libijczykach, którzy walczyli podobnie.

Abiram nie walczył podobnie.

Zamiast czekać na jego atak — ruszył mu naprzeciw. Bez miecza, bo miecz tkwił za pasem, a nie było czasu go dobyć — zresztą tak jest lepiej, kiedy ktoś czeka na twój miecz i nie wie, że ten nie nadejdzie. Dосkok w pół oddechu — lewe przedramię od dołu pod nadgarstek z mieczem, wybicie broni w górę i w bok. Ostrze zadzwoniło o skałę. Prawa pięść w na-

sadę nosa — krótko, prosto, bez zamachu. Kość pękła. Człowiek ze złamanym nosem ma krew w gardle i łzy w oczach przez kilka oddechów — ciało robi to samo, bez względu na wolę — i przez te kilka oddechów nie jest groźny.

Abiram zabrał mu miecz, zanim tamten zdążył upaść.

Drugi był ostrożniejszy. Widział, co się stało z pierwszym, więc zwolnił, zaczął się przesuwając bokiem, trzymał miecz niżej — zasłona środkowa, ostrze między nim a Abiramem, gotowość do cięcia lub pchnięcia, zależnie od tego, co nadejdzie. Dobra technika. Abiram ocenił go wyżej niż pierwszego.

Krążyli przez chwilę. Ściany wąwozu były blisko — nie było miejsca na szerokie ruchy, co odbierało Abiramowi przewagę wzrostu, ale też zmuszało Medżaję do walki w zwarciu.

Drugi zaatakował cięciem poziomym na wysokości żeber — dobre, z obrotem bioder, z całą siłą ramienia. Abiram zbił je klasycznym blokiem zewnętrznym, odskok biodrem w bok, żeby nie przyjąć całej siły, i skontrolował pchnięciem prostym w linię — ale tamten był szybki, zszedł z linii krokiem wstecz.

Trzy wymiany. Cztery. Obaj oddychali ciężiej.

Przy piątej Abiram zrobił coś, czego Menkara go nie uczył — zmienił chwyt miecza na odwrotny, z ostrzem wzdłuż przedramienia, a nie przed sobą. Takiego chwytu u Medżajów nie uczono, bo był niezgrabny, trudny i wymagał osobnego treningu. Przy szóstym ataku przeciwnika — cięciu ukośnym od prawego barku — Abiram ani nie zbił, ani nie zszedł z linii. Wszedł pod cięcie, obrócił się razem z nim i miecz trzymany odwrotnie przeszedł poziomo na wysokości ud tamtego. Cięcie było głębokie, przez mięsień uda. Noga odmówiła posłuszeństwa.

Drugi Medżaj upadł na jedno kolano. Miecz na ziemi. Ręka na ranie.

Abiram stanął nad nim i patrzył przez chwilę. Tamten patrzył na niego — z bólem, z gniewem, ale bez prośby. Dobrze wyszkolony.

— Żyj — powiedział Abiram. I ruszył w stronę trzeciego, który czekał przy koniach i wiedział już, że został sam i że jest za daleko, żeby zdążyć.

Trzeci odwrócił się i uciekł. Rozsądna decyzja.
Abiram dosiadł najlepszego konia i ruszył na wschód.



Osada leżała przy małej oazie — kilka palm, studnia, kilkanaście domów z suszonej cegły. Nie było jej na żadnej mapie, jaką widział, bo to było właśnie takie miejsce, które nie trafia na mapy — zbyt małe, żeby było ważne, zbyt trwałe, żeby zniknęło. Leżała na granicy między Egiptem a tym, co już Egiptem nie było, i mieszkali w niej ludzie, którzy sami żyli na granicy — ani do końca egipscy, ani obcy, ze spokojem kogoś, kto przywykł, że władza zmienia się gdzieś wyżej, a tu, na dole, wszystko jest zawsze tak samo.

Abiram usłyszał krzyk z uliczki między domami.

Nie zatrzymał się od razu. W uliczkach między domami zawsze ktoś krzyczy i zwykle nie jest to niczyja sprawa, a przez całe życie nauczył się, że mieszanie się w cudze sprawy to luksus, na który trzeba sobie pozwalać ostrożnie.

Ale potem usłyszał — za krzykiem — coś innego. Ten szczególny oddech kogoś, kto obrywa i nie woła o pomoc. Nie dlatego, że jej nie potrzebuje. Dlatego, że nie zamierza prosić.

Skręcił.



Chłopiec miał może jedenaście lat. Może dwanaście. Trudno powiedzieć, bo był mały jak na swój wiek — ale nie słaby, to co innego — i już nieźle oberwał: krew z rozciętej brwi zalewała mu prawe oko, warga spuchła, jeden sandał zgubił gdzieś w bójce. Naprzeciw niego stało czterech chłopców, z tej samej ulicy albo z innej — nieważne — wszyscy z tym samym wyrazem twarzy, jaki ma gromada, kiedy atakuje samotnego: mieszaniną odwagi stada i tchórzostwa pojedynczych.

Jeden z nich mówił coś o matce. Abiram nie zrozumiał wszystkiego — miejscowy dialekt, trochę inny od memfickiego — ale rozumiał wystarczająco. Nierządnica. Ladacznica. To i tamto. Stare słowa, nowe krzywdy.

Chłopiec przyjął kolejny cios — prawe ramię, odpychające — i nie zrobił kroku w tył. Zaatakował sam, choć wiedział, że przegrywa, bo tak robią ci, którzy nie mają innego wyjścia niż walka.

Abiram przeszedł przez uliczkę i podniósł dwóch chłopców do góry. Po jednym w każdej ręce. Po prostu tak — chwyt za karki przez tuniki, ramiona wyprostowane — i obaj zawiśli pół łokcia nad ziemią z minami kogoś, kto spodziewał się wielu rzeczy, ale akurat nie tego.

— Dość — powiedział.

Trzej pozostali spojrzeli na niego. Na jego rozmiar. Na jego twarz. Na to, że trzyma dwóch ich kolegów jak worki z piaskiem i najwyraźniej nie kosztuje go to żadnego wysiłku.

Odeszli.

Abiram opuścił dwóch na ziemię. Oni też odeszli — szybko, bez słowa, bez oglądania się.

Zostali tylko Abiram i chłopiec z zakrwawioną brwią, który stał i patrzył na niego z miną, jaką mają ludzie, kiedy coś ich uratowało, a oni nie wiedzą, co z tym zrobić.

— Czemu mi pomogłeś? — zapytał chłopiec. — Nie znasz mnie.

Abiram patrzył na niego przez chwilę. Na krew na twarzy. Na brakujący sandał. Na to, że nie cofnął się o krok przez całą bójkę.

— Bo nic w życiu nie cenię — powiedział — poza odwagą. A ty ją masz. Głupią, nieefektywną, bez żadnej szansy na wygraną. — Chwila. — Ale ją masz.

Chłopiec milczał przez chwilę.

— I tyle?

— I tyle — powiedział Abiram.



Chłopiec miał na imię Szem. Powiedział, że ma jedenaście lat, ale wyglądał na mniej, bo całe życie jadł za mało i ciało o tym pamiętało. Poprowadził Abirama przez osadę do domu przy wschodnim murze — małego, z płaskim dachem i z lampką oliwną w oknie, która mówiła, że ktoś jest w środku i czeka.

— Matka jest w środku — powiedział Szem. — Ona... — zatrzymał się. — Ona jest zajęta czasem wieczorami. Ale teraz nie powinna być zajęta.

Abiram nic nie powiedział.

Kobieta otworzyła drzwi, zanim zapukali — bo słyszała kroki i wiedziała, że jedno z nich są cięższe, niż byłyby kroki jej syna. Miała może trzydzieści lat albo mniej i twarz kogoś, kto nauczył się szybko oceniać mężczyzn, bo zbyt wolna ocena kosztuje. Jej wzrok zatrzymał się na Abiramie — na jego posturze, na mieczu u pasa, na tym szczególnym wyrazie twarzy kogoś, kto nie pyta o pozwolenie, bo przywykł, że nie musi.

— Ty — powiedziała do syna — co to jest?

— Pomógł mi — powiedział Szem. — Przy studni. Tych czterech z południa.

Kobieta patrzyła na Abirama przez chwilę. Potem cofnęła się o krok i otworzyła drzwi szerzej — to nie było zaproszenie, tylko miejsce. Taka różnica, jak między powiedzeniem „wejść” a niezamknięciem komuś drzwi przed nosem.

Abiram wszedł.



Dom był biedny tak, jak biedne są domy czyste mimo biedy — wszystko na swoim miejscu, nic zbędnego, bo każda rzecz kosztuje. Kobieta postawiła na stole chleb, oliwę i garnek z soczewicą i usiadła naprzeciw Abirama z miną kogoś, kto daje jedzenie, ale nie spuszcza oka z broni gościa.

— Czego chcesz — powiedziała. Nie było to pytanie, tylko początek przesłuchania.

— Jedzenia — powiedział Abiram. — Noclegu. Jeden dzień, może dwa.

— Tacy jak ty nie proszą — powiedziała kobieta. — Tacy jak ty wchodzą i biorą, co chcą.

— Tak zwykle robię — powiedział Abiram. Bez przeproszania, bez wyjaśniania — bo jedno i drugie byłoby kłamstwem. — Ale spodobał mi się twój syn. Więc nic ci nie zrobię, jeśli dasz mi to, o co proszę.

Kobieta patrzyła na niego przez długą chwilę. Szem siedział w kącie i słuchał z miną kogoś, kto wie, że jest ważną częścią tej rozmowy, i stara się tego nie okazywać.

— Uciekinier z wojska? — zapytała kobieta. — Czy bandyta?

— Mam pewne problemy — powiedział Abiram.

— Wszyscy, którzy przechodzą tędy nocą, mają pewne problemy.

Jadła przez chwilę w ciszy. Potem powiedziała:

— W naszej osadzie potrzebują kogoś takiego. Kogoś silnego. Jest karawana z południa, która regularnie tu staje i trzeba jej pilnować, a starszy osady dałby pracę takiemu jak ty bez pytania o przeszłość. Mógłbyś zostać.

Abiram jadł spokojnie.

— Nie zostanę — powiedział.

— Dlaczego?

— Bo nie zamierzam nikomu służyć. Już nigdy. — Wziął kolejny kawałek chleba. — Idę na pustynię. Jest tam sporo band. Zostanę ich hersztem.

Kobieta patrzyła na niego przez chwilę.

— To jest plan?

— To jedyna rzecz, którą umiem robić dobrze — powiedział Abiram.

— I jedyna, którą zamierzam robić dla siebie, a nie dla kogoś innego.

Szem w kącie kiwnął głową jak ktoś, kto słyszy coś, co rozumie, choć jeszcze nie powinien.



W nocy kobieta przysła do niego. Bez słowa, bo nie było nic do powiedzenia — oboje wiedzieli, czym ta noc jest, a czym nie, a słowa byłyby kłamstwem albo ozdobnikiem, i żadne z nich nie potrzebowało ani jednego, ani drugiego.

Nad ranem leżeli w ciemności i kobieta powiedziała cicho:

— Jak masz na imię?

— Abiram.

— Skąd jesteś?

— Z kanałów. Z Memfis.

— I stamtąd uciekłeś.

— Stamtąd odszedłem — powiedział Abiram. — Ucieczka zakłada, że coś zostawiłeś. Ja niczego nie zostawiłem.

Kobieta milczała przez chwilę.

— A imię matki pamiętasz?

Abiram przez chwilę nie odpowiadał.

— Nie — powiedział.

Co nie było prawdą. Ale to kłamstwo było jedynym zdaniem, które umiał tej nocy wypowiedzieć, nie płacąc za nie zbyt wiele.



Następny dzień był spokojny — tym spokojem, który przychodzi, kiedy wiadomo, że zaraz ruszy się w drogę i wszystko, co jest teraz, dzieje się po raz ostatni. Abiram naprawił przy studni siodło. Szem siedział obok i nie przeszkadzał — co świadczyło o większym rozsądku niż u wielu dorosłych, których Abiram znał.

— Jak dorosnę — powiedział Szem w pewnym momencie — chcę być tak silny jak ty.

Abiram skończył węzeł i sprawdził napięcie rzemienia.

— Siła to nie jest cel — powiedział. — Siła jest narzędziem. Cel jest inny.

— Jaki?

— To musisz znaleźć sam. — Wstał. — Ale jeśli go znajdziesz i wciąż będziesz chciał iść na pustynię — odszukaj mnie. Będę czekał.

Szem patrzył na niego.

— To obietnica?

— To informacja — powiedział Abiram. — Obietnice składają ludzie, którzy chcą, żebyś dobrze o nich myślał. Ja daję informacje.

Szem skinął głową powoli. Jakby to była mądrość do zapamiętania.



Skoro świt następnego dnia Abiram dosiadł konia i ruszył bez pożegnania — bo pożegnania są dla tych, którzy zamierzają wrócić i chcą, żeby ktoś na nich czekał, a on nie zamierzał wracać i nie chciał, żeby ktokolwiek czekał.

Kobieta stała w drzwiach i patrzyła. Szem stał obok niej, wyprostowany bardziej, niż pozwalało na to jego chuderlawe ciało.

Abiram nie odwrócił się. Nie dlatego, że nie chciał — dlatego, że odwrócenie się jest gestem, który coś znaczy, a on nie zamierzał niczego wyrażać gestami.

Pustynia wschodnia otwierała się przed nim szeroko jak pytanie bez odpowiedzi. Czerwone skały w porannym świetle. Zapach kamienia nagrzanego nocą i chłodzonego o świcie. Brak ludzi na horyzoncie — bo prawdziwa pustynia zaczyna się tam, gdzie kończą się ludzie.

Po raz pierwszy był tu sam.

I wiedział — bez cienia wątpliwości, z tą samą zimną pewnością, którą miał w ciemności kanałów, na placu ćwiczeń i nad ciałem Menkary — że to jest jego miejsce. Że tutaj będzie rządził. Że tutaj nikt nad nim nie będzie stał.

Że jest sam — i że właśnie o to chodzi.

Pierwsze tygodnie na pustyni wyglądały inaczej niż życie w koszarach. Koszary były porządkiem. Pustynia była przestrzenią bez narzuc-

ných reguł — jedynymi regułami były te, które dyktowała sama. Brak wody. Brak drogi. Brak kogokolwiek, kto powie, co robić.

Abiram uczył się tych faktów szybko. Nauczył się czytać piasek, wiatr, ślady i gwiazdy. Nauczył się rozmawiać z nomadami. I nauczył się jednej rzeczy, której nie nauczyły go koszary — że cisza może być towarzyszem, że cisza pustyni jest pełna, a nie pusta.

Nie szukał w tym niczego metafizycznego. Ale coś w tej ciszy mówiło.

Ruszył dalej. Ku bandzie, którą zbuduje. Ku temu, czym się stanie, kiedy nie będzie już niczym narzędziem, tylko sobą.

Pustynia była duża.

I właśnie tego potrzebował.

Ruszył.

Koniec Retrospekcji II